

# BILUSZCZ



WARSZAWA, 12 CZERWCA 1926 ROKU

**BARDZO WAŻNE!****BARDZO WAŻNE!**CELEM UNIKNIĘCIA PRZERWY W OTRZYMYWANIU „BLUSZCZU”  
NALEŻY JAKNAJRYCHLEJ

wplacić prenumeratę za miesiąc czerwiec b. r.

CZEKI P. K. O. DOŁĄCZYLIŚMY DO NUMERU 21.

Ze względu na to, że wysłane przez nas numery „BLUSZCZU” często giną na poczcie, prosimy, w razie nieotrzymania numeru do soboty zawiadamić nas o tem najpóźniej w poniedziałek następnego tygodnia. Reklamacyj niewniesionych w czasie właściwym uwzględnić nie będziemy.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

**Baczność Matki!****Baczność Matki!**KAŻDEGO 8-go i 22-go W MIESIĄCU  
WYCHODZI  
DWUTYGODNIK**„DZIECKO I MATKA”**Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, jest poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-miu (prospekt dołączyliśmy do numeru 18-go „Bluszczu”), KAŻDY NUMER W BARWNEJ OKŁADCE, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułkowemi KOSZTUJE POJEDYŃCZO 60 gr., W PRENUMERACIE MIESIĘCZNEJ Z PRZE-  
SYŁKĄ—TYLKO 50 gr.; KWARTALNEJ—45 groszy.

Nie należy zwlekać i natychmiast dwutyg. zaprenumerować, gdyż numer pierwszy jest na wyczerpaniu. Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900. Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

Czek P. K. O. dołączyliśmy  
do Nr. 18 „Bluszczu”ADMINISTRACJI „DZIECKA I MATKI”  
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

## POSIADAMY NA SKŁADZIE

Conrad. Fantazja Almayera . . . . .	zł. 2.50
„ Smuga cienia . . . . .	„ 1.95
„ Sześć opowieści . . . . .	„ 1.95
Dickens. Opowieść wigilijna . . . . .	„ —.95
Dumas. Dama Kameljowa . . . . .	„ —.95
„ Trzej muszkieterowie . . . . .	„ 2.85
Dygasiński. Gody życia . . . . .	„ 2.95
Farnol. Na szerokiej drodze . . . . .	„ 1.95
Gallet. Przygody C. de Bergerac . . . . .	„ 1.90
Gomulicki. Siódme amen . . . . .	„ —.95
Grubiński. Nowele . . . . .	„ —.95
Jokaj. Atlantyda . . . . .	„ —.95
Junosza. Na bruku . . . . .	„ —.95
Kraszewski. Ostatni z Siekierzyńskich . . . . .	„ —.95
Leroux. Upiór w operze . . . . .	„ 1.90
Ligocki. Powrót Beatryczy . . . . .	„ —.95
Lodon. Martin Eden . . . . .	„ 3.80
„ Przygoda . . . . .	„ 1.90
„ Prawo białego człowieka . . . . .	„ —.95
„ Wyga . . . . .	„ —.95
Sieroszewski. Ol-soni kisań . . . . .	„ —.95
Wierzyński. Pamiętnik miłości . . . . .	„ 6.—

**KSIĄŻKA**jest  
najlepszym i najpożyteczniej-  
szym uprzyjemnieniem  
wyczasów letnichSz. nasze Prenumeratorki  
zechcą się zwracać**DO  
NASZEGO DZIAŁU  
KSIĘGARSKIEGO,**który każdą książkę dostarczy  
odwrotną pocztą na warunkach  
znanych z poprzednich ogłoszeńKONTO 3.700 KONTO  
P. K. O. P. K. O.

## OSTATNIE NOWOŚCI

Aimard. Gorączka złota . . . . .	„ —.95
Antoniewicz. Z dziedziny organizacji nauki . . . . .	„ 6.—
Balzac. Farragus . . . . .	„ 5.—
Bettauer. Zatrącona ulica . . . . .	„ 3.60
Cieszkowski. Krzywdy dozwolone . . . . .	„ 1.60
Czekalski. Najukochańsze miasto . . . . .	„ 3.—
Daudet. Mały . . . . .	„ 1.90
Gjellerup. Gdym po raz pierwszy ujrzał ją . . . . .	„ 7.—
Hagard. Święty kwiat . . . . .	„ 1.90
Hichens. Po wyroku . . . . .	„ 4.40
Hugo. Dzwonnik z Notre-Dame . . . . .	„ 3.90
Karczewski. Brzegiem Bałtyku . . . . .	„ 4.50
Kotarbiński. Ze świata uludy . . . . .	„ 7.50
Krzyżanowska. Magowie . . . . .	„ 1.90
London. Biały kiel . . . . .	„ 1.90
Szpyrkówna. Słoneczny domek . . . . .	„ —.85
Tatarówna. O miłości mistrza Twar- dowskiego . . . . .	„ —.80



ROK LIX

№ 2

**PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK**

WARSZAWA, 12 CZERWCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Działwa polska z Niemiec przybywa do Ojczyzny — *Emilja Sukertowa*. Wyprawa do Rzymu na kongres, którego nie było — *Helena Boguszewska*. Ellen Key jej dzieło i życie — *C. Walewska*. Assyż — *Ellen Key*. Okruchy astronomiczne — *Zofja Reutt Witkowska*. Wiersze: „Góry” — *Anna Stonczyńska*. Grande-Grille szkic powieściowy — *Wanda Mitaszewska*. Przymierze z dzieckiem — *Marja Kuncewiczowa*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Pokłosie sezonu muzycznego — *J. R.* Wystawa Mazurska w Mławie. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Biała suknia — *Well*. Imię — *N. ska*. Wystawa gospodarstwa domowego — *Aurelja Wyleżyńska*. Dorobne owoce — *Stan. Schönfeld*. U narodzin przemysłu jedwabniczego w Polsce — *H. C.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Drugi konkurs „Bluszczu”. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). ARKUSZ WZORÓW.

## DZIATWA POLSKA Z NIEMIEC PRZYBYWA DO OJCZYZNY



Smutna jest dola działwy polskiej, zamieszkałej w obrębie Rzeszy niemieckiej. Ludność polska w większych skupiskach, w okolicach górniczych, jak to w rodzinnym Śląsku Opolskim, a także w Westfalji, w miastach wielkich — Hamburgu, Bremie, Lubece,

Gdańsku i innych — rekrutująca się przedewszystkiem ze sfery robotniczej, w dobie obecnej stagnacji skazana jest na nędzę. Dziecko polskie, pozbawione szkół polskiej, zapomina o swej przynależności narodowej, licho odżywiane, nieodziane pada ofiarą najniższych instynktów.

Obowiązkiem społeczeństwa polskiego jest pamiętać o tych maluczkich braciach i siostrach, w drobnej części chociaż przyjść im z pomocą.

Opieka kulturalna nad ludnością polską na tak zwanych kresach niewyzwolonych, czyli ziemiach etnograficznie polskich, pozostających w obrębie Rzeszy niemieckiej, — oto jedno z najważniejszych zadań Związku Obrony Kresów Zachodnich. Instytucja ta zrodziła się w Poznańskim, gdzie bardziej, niż w innych ziemiach Rzeczypospolitej, rozumiano niebezpieczeństwo grożące ze strony sąsiada, niezadowolonego z wyników wojny, roszczącego sobie prawa do ziem utraconych. Ażeby się przeciwstawić instytucjom niemieckim, jak to Hilfsbundowi na Górnym Śląsku, Heimatdienstowi w Prusach Wschod-

nich, jako też zrzeszeniu robotniczemu dla popierania niemieczyny zagranicą (Arbeitergemeinschaft für Auslands Deutschtum) — zalegalizowano w 1922 r. Ligę Obrony Kresów Zachodnich L. O. K. Z., która w ciągu kilku lat zdołała w czterech okręgach: pomorskim, poznańskim, śląskim i środkowym, obejmującym b. Kongresówkę i Małopolskę — zorganizować 300 kół!) przy 20 tysiącach członków.

Cele i zadania tej instytucji szeroko są zakreślone, bowiem potrzeby tak duchowe, jak i materialne ludności polskiej w Niemczech (wynoszącej średnio półtora miliona dusz) są bardzo duże. Jednym z zadań L. O. K. Z. jest zbliżenie i utrzymanie kontaktu rodaków z Niemiec z Macierzą. W tym celu organizuje się wycieczki zbiorowe ze Ślązka, Warmji, Mazur i Powiśla do Polski, kształci się w zakładach naukowych w kraju zdolnych młodzieńców z kordonu.

Najdonioślejszym jednak zadaniem jest sprawowanie gremjalne działwy polskiej na czas feryj letnich i rozmieszczanie takowych po wsiach polskich dla odżywienia wątłych, wyniszczonych organizmów, dla rozbudzenia dusz polskich.

Wiele trudności należało przełamać w r. 1923, kiedy po raz pierwszy sprowadzono 400 dzieci, podburzonych przez nauczycielstwo przeciwko wszystkiemu, co polskie. Nieufna, wylękniona działwa serdecznie przyjęta przez dwory, szkoły, instytucje i gro-

no osób rozumiejące swoje zadanie — poczęła niebawem sercem odpłacać za serce. Następnego roku liczba małych gości wzrosła do 1000, w r. 1925 potroiła się. W roku bieżącym tak ciężkim i krytycznym przybywa do ojczyzny 5000 dzieci. Dwa tysiące osiadł w Poznańskim u krewnych, reszta jednak znaleźć winna gościnę w kołach Związku Obrony Kresów Zachodnich i wśród obywateli, którym dobro narodu polskiego, dobro upośledzonego przez los polskiego ludu za kordonem leży na sercu. Ze wspomnianej liczby 600 dzieci przypada na Pomorze, 1000 na Poznańskie i 1400 na Kongresówkę, w tem 600 dzieci bezrobotnych z Górnego Śląska. Wobec ciężaru, jaki spada na instytucję, pożądane byłoby, ażeby jak najszersze sfery zainteresowały się małymi

gośćmi (działwa od lat 5 do 15), w szczególności dwory i wsie, które przecież nigdy nie pozostają głuche na potrzeby Narodu.

Przygarniając do serca Macierzy tę upośledzoną przez los działwę polską, przywiążemy ją do ojczyzny, uchronimy od wynarodowienia; zdobędziemy wdzięczność tysięcznej rzeszy robotników polskich dla dalekiej Ojczyzny za to, że mu dzieci żywi, że je pacierza uczy, że o nim pamięta... Sąsiadom zaś w tym przełomowym momencie wykażemy spoistość, żywotność, równowagę duchową, solidarność, poczucie i zrozumienie obowiązków narodowych.

*Emlja Sukertowa.*



<sup>1)</sup> Adres Ligi Obrony Kresów Zachodnich Warszawa, Nowy Świat 21.

## WRAŻENIA Z WYPRAWY DO RZYMU NA KONGRES, KTÓREGO NIE BYŁO

### SZKOŁY.

IV Kongres Międzynarodowy Wychowania Moralnego, naznaczony na dzień 16/IV, został odwołany wtedy, gdy wielu delegatów było już w drodze, tak, że o odwołaniu dowiedzieli się dopiero po przyjeździe.

Byli delegaci ze Szwajcarii, Polski, Bułgarii i innych państw. Nawet Peru.

Przyjechaliśmy na Kongres, Kongresu niema. Trudno. Jesteśmy w Rzymie i chcielibyśmy wyzyskać tę bytność nietylko dla turystycznego zwiedzania. Wiele osób pragnie zapoznać się ze szkołami, prowadzonymi systemem Montessori. Chcą oglądać domy dziecięce — case degli bambini.

Zwracamy się z tem do prof. Orestano, prezesa Organizacyjnego Kongresu. Myśleliśmy, że to będzie można załatwić odrazu. Ale prof. Orestano odesłał nas do p. Credario.

Upłynął dzień, zanim dostaliśmy się do p. Credario. Pan Credario pokazał nam bardzo uprzejmie salę, gdzie obraduje Senat w słynnej willi Madame. Ale w sprawie zwiedzania szkół odesłał nas do pana Ferroni w biurze Departamentu Oświaty na Kapitolu.

Znowu upłynął dzień. Mogliśmy przez ten czas obejrzeć wszystkie szkoły Montessori, przynajmniej w naszym mniemaniu, zamiast wysiadywać w różnych poczekalniach. Dowiadujemy się wkońcu, że pana Ferroni niema w biurze i niewiadomo kiedy przyjdzie.

Piszemy do niego list zbiorowy z podpisami. I tym razem procedura jest uproszczona: Pan Ferroni poprostu nie odpowiedział na list.

Wielu delegatów, nie zobaczywszy nic z tej dziedziny, wyjechało. Ja zostawałam jeszcze przez kilka dni i starałam się dalej przez poselstwo polskie.

Aż na parę dni przed wyjazdem stała się rzecz wprost śmieszna. Oto dowiedziałam się zupełnie oficjalnie, że szkoły systemu Montessori nie istnieją, gdyż rząd faszystowski pozamykał je!

Oczywista rzecz, że nie mogliśmy ich zwiedzić...

Dlaczego rząd pozamykał te szkoły? Czy dlatego, że były to domy dla dzieci robotników w dzielnicach robotniczych i jako takie stanowiły zjawisko zbyt demokratyczne przy obecnym kierunku? Tego nie można się dowiedzieć, gdyż jak już wspominałam, „niema dyskusji“. Każdy, zapytany o tę sprawę, opowiadał co innego: że pomoce do systemu Montessori — te różne kółka, odważniki, ciężarki, łamigłówniki, obrazki są za kosztowne na obecny stan finansowy, to znowu, że zwolennicy Montessori popierali ją tak fanatycznie, że to aż wzbudziło reakcję przeciw jej systemowi... i różne takie objaśnienia, mętne i niewystarczające.

Nie wiem, co o tem myśleć. To jedno jest pewne, że szkół prowadzonych systemem pani Montessori niema na całym terenie jej ojczyzny.

Zwiedziłam więc tylko parę zwykłych szkół powszechnych państwowych i prywatnych z programem państwowym i kilka przedszkoli. Siedziałam na lekcjach w różnych oddziałach, słuchałam, patrzyłam, rozmawiałam z nauczycielami, oglądałam pomoce naukowe i wywozłam ogólne wrażenie, że w zestawieniu z naszymi szkołami są jakby uwstecznione w rozwoju o jakie parę dziesiątków lat. A odnosi się to zwłaszcza do nauk przyrodniczych i do nauczania eksperymentalnego i laboratoryjnego.

Szkoła powszechna państwowa im. Dante Alighieri — to olbrzymi, wspaniałe gmach, nowożytnie urządzone. W jednym skrzydle szkoła męska, w drugim żeńska. (Program ten sam, ale koedukacji we Włoszech niema wcale). Na wykłady fizyki przychodzi do tej szkoły odpowiednie wydziały innych szkół powszechnych, bo tu są najlepsze urządzenia i pomoce naukowe. Dostałam się na wykład o dzwon-

ku elektrycznym i telefonie. Wykład, a nie lekcja!

W ogromnej sali uczennice miejscowe i te z innych szkół razem ze swojemi nauczycielkami siedzą na amfiteatralnie wzniesionych ławkach. Nauczyciel wykłada, asystent podaje mu żądane przedmioty. Audytorjum słucha, nie biorąc żadnego czynnego udziału. Jak w uniwersytecie. Nauczycielki notują, żeby później, po powrocie do swoich szkół, powtórzyć z uczennicami treść wykładu.

Po lekcji pokazywano mi gabinet fizyczny bardzo dobrze zaopatrzony. Z pomocy tych korzysta tylko nauczyciel. O laboratorjach dla uczniów, o pokazach, doświadczeniach samodzielnych niema mowy. Niema również żadnych hodowli żywych zwierząt; ani roślin, żadnych akwarjów, ani terrarijów. O heurzezie nikt nawet nie słyszał. Wycieczki, o ile są, to tylko traktowane turystycznie, dla obejrzenia nowej okolicy, lub zabytków, nigdy przyrodniczo.

Większy natomiast nacisk kładą tu na nauki humanistyczne: historję, literaturę, a zwłaszcza na języki starożytne. Wynika to z tego prądu imperjalistyczno - rzymskiego, jaki charakteryzuje dzisiejsze Włochy. I zresztą taki kierunek wypływa z samej natury tej włoskiej ziemi.

W przedszkolach, po wyeliminowaniu systemu Montessori, pozostały tylko najzwyczajniejsze zajęcia Froebrowskie: dzieci siedzą na krzeselkach, czy też niskich ławeczkach i przeplatają paski z kolorowego papieru, lub z rafji, nakłuwają grubą szpilką kontury zwierząt, lub owoców, narysowanych na tekturce, a potem rysują to kolorową bawełną, nawlekają paciorki, rysują kredkami i t. d.

Najciekawszą rzeczą, jaką oglądałam z tej dziedziny, jest Instytut Św. Grzegorza, cały kompleks gmachów i zabudowań na wzgórzu, wśród ślicznych

kwitnących ogrodów, a wszystko razem opasane wysokim murem, pełne zieleni, ciszy i słońca, i stanowiące jakby osobny, zamknięty w sobie świat.

Przedewszystkiem świat dzieci. Od urodzenia do siódmego roku życia mogą nie wyjrzeć poza obręb muru i znajdują w tych ogrodach wszystko, co trzeba.

Od urodzenia do dwóch lat życia chowają się w zakładzie, będącym jednocześnie Szkołą Pielęgniarek z kursem 16 miesięcy. Uczennice same zajmują się dziećmi pod kierunkiem nauczycielek i lekarza - higienisty, a prócz tego odbywają praktykę w Poradni dla matek z niemowlętami, przychodzących z miasta po wskazówki co do żywienia, ubrania, i wogóle pielęgnowania dzieci.

Oprócz tego w starożytnym gmachu klasztoru Św. Grzegorza mieszczą się: Szkoła Metodyki nauczania przedszkolnego (Scuola di metodo), coś w rodzaju naszego seminarjum, tylko z niższym programem, o kursie trzyletnim, ćwiczeniówka dla dzieci w wieku przedszkolnym, oraz internat dla uczennic i dla dzieci. W pokojach sypialnych obok dużych łóżek stoją małe łóżeczka dzieciinne. Podobnie jak w szkole Pielęgniarek. Rzecz jest oparta na ciągłym współżyciu uczennic z dziećmi; odbywają się też wykłady teoretyczne higieny, pedagogji, metodyki, przedmiotów ogólnych.

Długo błądziłam jeszcze wśród ogrodów, sadów, warzywników, mijając gromadki dziewcząt i dzieci, zachodząc do różnych zabudowań, z których każde mieściło w sobie coś mającego związek z wychowaniem dziecka lub wychowawczyni. Wiele dobrych godzin spędziłam w tem małym państwie, tak odrębnem i cichem, że, wyszedłszy na ulicę pełną ludzi, gwaru, samochodów i wrzasków roznościeli gazet, uwierzyć się nie chce w jego istnienie.

H Boguszewska

## ELLEN KEY — JEJ DZIEŁO I ŻYCIE



siążką, wrywana z rąk do rąk przed laty trzydziestu, było „Stulecie dziecka” szwedzkiej autorki — jeden krzyk rozpaczony nad morderstwem dusz młodych w domu i w szkole, nad stępieniem kielkujących myśli, nad upadkiem kultury uczuć indywidualnych.

„Pięknie w pudełkach z odpowiedniami etykietami zamknięta jest wiedza rutyniczna, zmechanizowana, wydyscyplinowana. Lecz jakże krótkie jej trwanie! Ulatnia się, zostawiając tylko znużenie.” Bo klątwą ciężką nad nią przeżytki szkoły wszystkich epok.

Wysoko wznoszą się loty pisarki, gdy mówi o wychowaniu dziecka. Bujne ziarno sieje każda jej myśl, że tylko glebę przygotować, by wzeszła, gdziekolwiek padnie. Ale i tu pełno paradoksów. Potępia barbarzyństwo szkoły dawniejszej z jej pamięciowem obkuwaniem kilku naraz przedmiotów, z jej lichymi nauczycielami, przy których można było spać, lub oszukiwać, z jej szarą jednolitością, ześrodkowującą całe nauczanie dookoła wykładów łaciny. A jednocześnie uważa, że dla silnych indywidualizmów była ona mniej szkodliwą, niż obecna

ze swemi zajmującymi lekcjami, udoskonalonemi metodami, znakomitymi nauczycielami, którzy usuwają z drogi ucznia najdrobniejszy kamyczek, udzielając mu strawy umysłowej, przyrządzonej w sposób jak najsmakowitszy, a nawet już przeżutej. Zdaniem Ellen Key ta dobra szkoła właśnie przez swą nadmierną wszechstronność przysposabia tło dla współczesnej nerwowości, wywołuje ociężałość umysłu i przyczynia się do bezradnego chaosu naszych czasów.

Gdzie prawda? Po dzień dzisiejszy kłóca się jej teorie. Gimnastykować umysł dziecięcy twardem ćwiczeniem, czy bawić go złudą nauki? Stają naprzeciw siebie szkoła włoska, belgijska i inna, a pola doświadczalne na mózgach dziecięcych wyczekują cierpliwie wniosków ostatecznych.

Więc i dawna i obecna szkoła według Ellen Key raczej przytębia, aniżeli pobudza rzutkość umysłu uczniów. Na stu absolwentów może dwóch, trzech zaledwie wyodrębni się od trzody, która ginie bezradnie w braku przewodnika. A już ostatecznie stępie i ogłupia młode umysły tortura egzaminów. „Należy je zmieść z powierzchni ziemi” — woła w szale oburzenia szwedzka publicystka. A z niemi

razem zmieść dyplomy — świstki nikomu niepotrzebne, widome przypomnienie szkolnych mordów. Podkreśla Ellen Key barbarzyństwo kar cielesnych, które nie tylko poniżają i depczą godność ludzką, ale — jak wiadomo — pobudzają w sposób wysoce szkodliwy instynkty płciowe. Oburza się także na ogródki froebrowskie. „Zdaje nam się, że kształcimy ludzi, gdy już dwu i trzyletnim dzieciom każemy żyć w gromadzie, w gromadzie występować, pracować według planu i gromadnie wykonywać wciąż te same bezsensowne robotki. Nie zdajemy sobie sprawy, że w ten sposób zamiast ludzi mustrujemy numery.“ Jedną jedyną szkołą zachwyca się tylko — państwa Lowerison w Humstanton w Norfolk, której głównym celem zdrowie fizyczne. „Lekcje o ile możliwości odbywają się tam na świeżym powietrzu, a p. Lowerison uważa za właściwe przerwanie ich, o ile są w pokoju, dla przekazania dzieciom jakiegoś pięknego zjawiska przyrody“.

Plan zajęć codziennych zmienia się zależnie od przypływu i odpływu morza, gdyż kąpiel, powietrze, słońce, dobre obfite pożywienie stanowi niezbędny warunek harmonijnego rozwoju. Wszystkie naturalne ćwiczenia, jak pływanie, wiosłowanie, wycieczki piesze mają pierwszeństwo przed czystym sportem. Nauczanie odbywa się przeważnie metodą pogładową, a więc lekko strawną, której na innym miejscu tak bardzo sprzeciwia się autorka.

Szkoła pp. Lowerison przeszła już może w inną rękę. Uczelnie tego typu powstały jednak jeszcze za życia szwedzkiej autorki w różnych krajach i wszędzie lekcje odbywały się raczej systemem rozrywkowym, aniżeli przez metodyczną gimnastykę umysłową. Jednak przeciw żadnej z nich nie zwróciła Ellen Key rękocyfki szpady, którą wymierzała ciosy zbyt nim ułatwieniom nauki. Nieobliczalne były jej zachwyty i potępienia.

„Stulecie dziecka“, tłumaczone na wszystkie obce języki świata cywilizowanego, wyszło u nas w 1904 r. w bardzo dobrym przekładzie Izy Moszczeńskiej, nakładem nie istniejącej już dziś Księgarni Naukowej. Żeby zrozumieć źródła paradoksalności założeń autorki, przeczących sobie nawzajem, trzeba wymyśleć się w jej życie.

Urodzona w roku 1849 w Småland w południowej Szwecji, spokrewniona przez matkę, hrabinę Posse, z arystokracją szwedzką, wychowywała się na wsi w majątku ojca swego, zamożnego obywatela. Nie chodziła nigdy do szkoły. Kształciła się sama przeważnie. Cicha wioska rodzinna była pierwszym jej ukochaniem. Księga przyrody i bogata w cenne dzieła biblioteka ojca stanowiły wyłączne prawie źródło wiedzy zdobytej. Samokształcenie — przy niesfornym temperamentie i bujnej wyobraźni wyrobiły w niej tę błyskawiczną rzutkość umysłu, która — nie kontrolowana przez drogowskazy metodyczne — stwarzała góry sprzeczności w poglądach, opinjach i hasłach. Jedyne kryterjum były jej własne spostrzeżenia i wysuwane z nich wnioski.

„Rosła, rozwijała się i dojrzywała, jak polny kwiat w zupełnej swobodzie i ciszy, uspasabiającej do kontemplacji, do wnikania w głąb i czerpania więcej ze siebie samej, niż z otaczającej atmosfery“ pisze o niej Moszczeńska.

Nie znając szkoły, czuła do niej wstręt instynktowy, jako do wytwórni szablonowych mózgow, karmionych rozłożonemi na drobne porcyjki wiadomościami, których nie może przetrawić dziecko, bo nie dają mu czasu i nie skłaniają go ku temu.

W wiosce swojej zajmowała się oświatą ludu. Pracę zarobkową — nauczycielstwo i publicystykę — podjęła dopiero w 30 roku życia, kiedy ojciec jej skutkiem przesilenia w rolnictwie i swej ofiarności na cele publiczne i polityczne stracił majątek. Odtąd poświęca dużo czasu i rozmyślań sprawie „nadużywania sił kobiecych“ przy warsztatach wyrobniczek. Zbiera cyfry statystyczne, studjuje dzieła ekonomiczne i podnosi krzyk rozzdzierający nad potarganiem węzłów rodzinnych, nad fizycznym i moralnym upadkiem dziecka wyrobniczy, pozbawionego opieki.

Wyrazem współczucia dla zaprzęgniętych w kierat roboczy białych niewolnic był testament jej, mocą którego zapisała posiadłości swoje Strand na jesiorem Wettern, gdzie spędziła ostatnie lata życia, oraz całą puściznę literacką na rzecz fundacji domu wypoczynkowego dla kobiet pracujących, który założyła w 1914 r.

Jądra hasła Ellen Key, wyłuskane z paradoksalnych swych zestawień, wstrząsnęły światem. Gdy po nad nimi uniosła się logiczna trzeźwa myśl Lili Braun, oparta na przesłankach naukowych, gdy zabrał głos August Bebel, ochrona pracy kobiet i dzieci stała się najżywością kwestją.

Powstało już dziś prawodawstwo, zabraniające pracy nieletnich, nie dopuszczające kobiet do robót podziemnych i robót przy fabrykacji bieli ołowianej, która okazała się nad wyraz szkodliwą. Po zbadaniu 77 kobiet w pewnej fabryce angielskiej dowiedziono, że w epoce, którą badanie obejmowało, zdarzyło się wśród nich 21 porodów nieżywych, 90 poronień, a oprócz tego 40 niemowląt, piersią karmionych, zmarło w konwulsjach skutkiem zatrucia pokarmu matki.

W ruch feministyczny z końca XIX wieku i w początki etyki obyczajowej, obowiązującej po dzień dzisiejszy, wprowadziła Ellen Key rakietami przesłanek swoich duży zamęt, ale pobudziła zarazem do rozważenia różnych spraw społecznych, a nade wszystko sprawy kobiet, rodziny i wychowania dziecka pod najrozmaitszymi kątami widzenia. To samo już stanowi jej zasługę.

Bo uczyć, myśleć i zastanawiać się nad zagadnieniami życia i bytu społecznego, to przecież najważniejsze zagadnienie pisarza - publicysty.

C. Walewska



ELLEN KEY

## ASSYZ

We Włoszech wiosna bardzo była spóźniona. Nagle jednak przyszły wielkie ciepła, które pędziły roślinność z taką siłą, że na Zielone świątki wszystko kwitło już w dolinach, chociaż święto przypadło niezwykle wcześnie.

Dokoła Assyżu, gdzie właśnie spędziłam wtedy okrągły tydzień, pyszniło się wczesne lato w swej krasie najświeższej. Na wyżynach widać było jeszcze kwitnące jabłonie, lecz w dolinie śnieg kwitnących drzew owocowych ustąpił już innemu, śniegowi akacyj. Stały one w gajach i ogrodach tak pełne białych gron, że nie zauważało się zieleni, lecz można było myśleć, że się patrzy na spadającą bezszelstnie wodę wodotrysku. Cisnęły się one tak gęsto przydrogach i na nasypach, iż myślało się chwilami, że się jedzie poprzez biało pieniającą się, jasnozieloną rzekę. Na otwartych placach stały wielkie kasztany, dźwigające na rozpostartych ramionach niezliczone białe świece. Jedyne ogrodzenie całej okolicy — żywopłoty z dzikiej róży — świeciły oslepiająco biało. W ogrodach pachniał jaśmin, a na polach lśniły blawatki i stokrotki. Między oliwkami, które teraz w pysznej zieleni wiosennej wyglądały raczej cynowoszare, niż srebrem połyskujące, świeciła płomienna czerwień maku w soczystej, zielonej pszenicy, lub też całe pole lśniło czerwiecią śpiczastej koniczyny sardyńskiej. Między wiazami i morwami wisały jasnozielone wąsy winorośli; żyto kołysało się liljowemi, lśnącymi falami i mieszało swój zapach z zapachem akacyj.

Dokoła płynącej wody stały wierzby i topole; na równinach i stokach tłoczyły się wiązy, lipy i klony, przeważnie jednak dęby w tych gajach, które dziś stanowią jedyną pozostałość tych ogromnych dębowych lasów, które nadały okolicy w dawnych czasach nazwę Umbria verde. Lecz i teraz także Umbria zasługiwała na swą nazwę, gdyż wiele płynących wód nadaje roślinności jej większą świeżość i bujność, niż gdzieindziej. W świetle poranka dolina lśniła ciepłą, szmaragdową zielenią, w której wyrwy czyniła jedynie biel gęsto rozsianych tarnin.

Oto rozpostarła się bieżąca, srebrnoniebieska mgła nad równiną, nad wzgórzami, nad miastami, wznoszącymi z wierchołków tych wzgórz swe dumne kiedyś mury wieżyc i wciąż jeszcze dźwięczące dzwonnice. Pod wieczór okolica robi wrażenie w lekką mgłę spowitego morza, tak nie sposób od różnić równinę od wzgórz, wzgórze od gór, góry od nieba. Ale wtedy słońce zachodzi i widzi się znowu, jak wzgórze odcinają się niebieską zielenią od jasnego błękitu gór, miękkie fale gór odcinają się od nieba, na którym biel przechodzi w złoto, złoto w barwę jasnozieloną, a jasnozielona w błękit. Od razu poznaje się krajobrazy Perugina i Pinturicchia, o każdej porze dnia, które najbardziej, zdaje się, lubili.

Jeszcze dziś poznaje się znowu rzeczywistość — miasta na wzgórzach, jezioro Trasimene, tak charakterystyczne dla krajobrazu, wysokie topole, połysk srebrny ich liści. Lecz obserwowanie rzeczywi-

stości pogłębione zostało u obu tych artystów przez wewnętrzny sentyment.

I nie tylko u wyżej wymienionych malarzy, lecz także i u pomniejszych mistrzów umbryjskich, znajdujemy zamiłowanie do krajobrazu nie tylko jako do tła, lecz dla krajobrazu samego w sobie i wyłącznie dla niego. Pinakoteka w Perugji posiada więc cykl mniejszych obrazów temperą, które teraz przypisywane są Fiorenzo di Lorenzo. Na każdym z nich widzi się nowy obraz przyrody umbryjskiej, z miękkimi łąkami, które wznoszą się na wzgórzach; z pięknie zarysowanymi drzewami i cichymi wodami, odbijającymi krajobraz i niebo bądź w błękitcie poranka, bądź też z żółtymi i czerwonymi chmurami wieczoru i krążącymi wśród nich jaskółkami. Jednym słowem „nastrój“ w malarstwie krajobrazu Włoch wynaleziony został przez szkołę umbryjską.

Tak, zanim jeszcze malarze umbryjscy wyzwolili swe obrazy ze złotego tła, czuć wpływ, który wywarły na sztukę umbryjską — to powietrze, te topniejące barwy, te jednocześnie poważne i łagodne kształty.

Sztuka ta w tym roku, jak nigdy przedtem, zebrana była w starym, okazałym Palazzo Comunale Perugji, gdzie właśnie — w połączeniu ze starszemi zbiorami Pinakoteki — urządzona była wystawa starszej sztuki umbryjskiej i artystycznych rękodzieł. Z samej Perugji i z sąsiednich miast Umbrji zniesiono, co było najlepszego, a co można było przenieść. A jeśli miało się czas, można było pozatem studjować w Assyżu, Spello, czy Montefalco freski, należące do dziejów sztuki umbryjskiej. Dzieła Cimabue'go i Giotto w Assyżu zna przecie każdy obeznany ze sztuką człowiek; chcę więc tylko podkreślić tutaj, że warto się trudzić dla odszukania w Montefalco Gozzoli'ego fresków z życia Franciszka — w kościele pod jego wezwaniem — oraz także jego, przemiłej, jasnowłosej Madonny i siedmiu śpiwających i grających aniołów w San Fortunato. W Spello znowu, w razie, gdy się tam nie idzie, tak jak ja, po to także, by się przyjrzeć wielkiemu targowi na bydło, przedewszystkiem nęć nas do małej miasteczki o obrośniętych bluszczem murach freski Pinturicchia w katedrze.

Na czasowej wystawie w Perugji nie było do zobaczenia nic istotnego z obrazów Perugina, czy Pinturicchia. Starsi mistrze umbryjscy przykuwali bądź przez to, czego chcieli, bądź przez to, co osiągnęli, przedewszystkiem jednak przez tę zagadkową sprzeczność między sztuką, którą stworzyli, a czasem, kiedy tworzyli — sprzeczność, którą zresztą utrwalił stary zwrot językowy, że mieszkańcy Perugji „to albo anioły, albo djabły“.

Lecz właściwa sztuka umbryjska nie daje nam pojęcia, że krew płynęła tak strumieniami przed kościołami i klasztorami, dla których Alunno i Bonfiglio, Fiorenzo, Perugino i Pinturicchio malowali obrazy, z których to obrazów można było wywnioskować, że ich mistrze nigdy nie patrzyli na nic innego, tylko na świat pokoju i piękna.



## OKRUCHY ASTRONOMICZNE

### SREBRNY OBŁUDNIK

Przywilej natury człowieczej: wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, a jeśli nie wiedzą—korci ich niewiadome, czego niezdolni dociec, wyobraźnią dopełnią. Najbliższy nasz sąsiad na falach wszechświata, nasz druh nieodłączny, księżyc, od niepamiętnych wieków przedmiotem był dociekań, natarczywych często—i do niedawna—ponad zwykłą miarę zainteresowań naukowych, podjudzanych ową wyobraźnią ciekawską, niedosytem owocu wiadomości.

Tajemniczy srebrny gość nocy, w którym Egipt czcił życiodajną siłą wilgotną, płodną, zagadkowy zaś związek między pewnymi normalnymi pojavami fizjologicznymi, a ruchem księżyca, osobliwe działanie światła księżycowego na niektóre nienormalne organizmy, umacniały w poczuciu wpływu, jaki to ciało niebieskie wywiera na ziemską przyrodę. Do dziś od czasów zamierzchłych pokutuje przekonanie, że rośliny, ba, nawet włosy ludzkie, rosną lepiej ku pełni, włosy, niebacznie przycięte, gdy miesiąc maleje, poczną niechybnie marnieć... W starożytności do ostatka zato nie była powszechnie wiadomą prawdą, że przypływ i odpływ mórz powodowany jest przyciąganiem księżyca (również zresztą słońca).

Rzym ginący przyjął kultu Wschodu, m. inn. osobliwsze praktyki na cześć owej siły miesięcznej. Prymitywne religie wielbią Życie naiwnem, bujnym potwierdzeniem, afirmacją bytu, czcią dla czynności rozrodowych, skąd krok do wyuzdania. Równoległe z tą religią naturalną mędracy, nad nędzami bytu u kolebki już ludów zadumani, stwarzają religię zaprzeczenia bytu, negacji, ascezy. Prymitywna asceza równie bywa naiwna, jak pierwotna radość z utrzymania gatunku. Posługuje się środkami często materialnymi, by uniemożliwić ciału zwycięstwo nad duchem: literalnie oko, gorszące nas, wyrывa, stępia narzędzia grzechu. Ależ odejmuje człowiekowi jedyną godność, do której poczucia nie dorósł, że bujne ciało ujarzmić ma bujniejszy odeń—duch.

Od kapłanek siły rozrodowej, słonecznej, czy miesięcznej, żądano tam—owdzie, znamiennym paradoksem, dziewictwa: meksykańskie dziewice Słońca, druidessy celtyckie—miesięczne święto Jemioły. Miesiąc zresztą, białe to chłodne światło, na bardziej znanym terenie, bo w Grecji, wiązał się z kultem dziewiczej bogini Artemidy (Dianny), której dziewicze kapłanki dorocznie objeżdżały miasto Patrae rydwanem, zaprzężonym w jelenia... na której cześć smagano w Sparcie co najszlachetniejsze i najurodzawsze pacholeta... Sercem toć zgrzeszyła dziewicza bogini: zakochała się była w uroczym pacholęciu, Endymjonie. Na księżycu spoczywa uspiomy Endymjon—toć widać go nawet!

Krwawy, złowrogi miesiąc dziewiczy, krwi żądny. Oto stanęliśmy na przeciwległym biegunie kultów księżycowych: rozpasany kult babiloński płodności, nieco szlachetniejszy kult Ozyrysa, na odwrocie zaś medalu wyrodniałe nieraz praktyki ascetyczne. Obie postacie religii na cześć tegoż samego Boga, na cześć Życia, wcielonego w srebrną zagadkę, wędrującą—tak dziwnie blisko nas—po nocnym niebie.

Nannar, Ozyrys, czy srebrne królestwo Dianny; Kain—bratobójca, sam po wieczne czasy na lodowym globie, św. Jerzy, grający na skrzypce, by odgonić wilki, co chcą księżyc pożreć, anglosiaski dobroćliwy człeczyna z pieskiem, drwał księży-

cowy, japoński Biały Królik, Usagi, dobrotliwszy jeszcze, bo warzy okrągłe jak pełnia, białe ciasteczka ryżowe, pod wielkim drzewem Kassji, a potem rzuca je grzecznym dzieciom na ziemię; nasz biedny szlachcic, Twardowski, pośpiewujący godzinki na cześć Panny, świętej obronicielki... co na księżycu, bywa, stoi... depcąca głowę wężowi... Tak, czy owak jest na księżycu ktoś; włada tym światem Coś, urok, czar osobliwy: złowrogi czy dobrotliwy? różnie od prawników czują ludzie! Jakiś odwieczny niebieski prima aprilis—nie patrz, bo się omylisz!

A tymczasem w księżycowym kształcie siania nam przed oczy wiedza ścisła nader skromnego jęzgości. 49 razy mniejszy od naszej ziemi, o masie znacznie szczuplejszej, bo wynoszącej  $\frac{1}{81}$  część masy ziemi, w związku z tem, oraz ze stosunkową lekkością materji, z której zbudowany został, rozporządzający siłą przyciągania 6 kroć mniejszą, niż ziemia, na skutek czego człowiek o wadze 70 kilo ważyłby na księżycu tylko 11 kilo i mógłby odpowiednio do tej wagi wykonywać skoki... odrabia księżyc pilnie swoich 2.415.000 klm. drogi wokół ziemi w przeciągu 27 dni. 7 godzin (43', 11"). To nie wszystko: po 27 dniach wraca tylko do punktu, w którym się w stosunku do gwiazd małych znajdował był; musi jeszcze wędrować dwie doby, aby stanąć zpowrotem na linii Ziemia—Słońce, boć ziemia się przez ten czas zdążyła w biegu swym rocznym dokoła słońca poruszyć. Owe dwie cyfry 27 i 29 dni wykazują różnicę między t zw. miesiącem syderalnym (gwiaździstym), a synodycznym (współdrożnym).

W rachubie kalendarzowej uwzględniamy drugi. A jak daleko z ziemi do księżyca? Tylko 384.000 klm., to znaczy tylko 30 naszych ziem starczyłoby, ustawionych jedna na drugiej, by drogę tę wypełnić... Doprawdy niedaleko. W 38 tygodni można dojechałby tam pociągiem! Toż gwiazda najbliższa znajduje się w odległości 41.000.000.000.000 klm. od ziemi! Słońce—w 149.500.000... Zważywszy, że najlepsze narzędzia astronomiczne powiększają przedmiot obserwacji, „zbliżają“ 1000 razy, gdy chodzi o widzenie dokładne, podziwiać możemy księżyc z odległości niespełna 400 kilometrów!

Cóż widzimy!? Nie człowieka na księżycu, ani oblicze miesięczne, jasne góry i ciemne doliny. W 1647 r. Hevelius, gdańszczanin, pierwszy nakreślił mapy Księżyca. Współczesnik jego, jezuita Riccioli, wprowadził do selenografji (opisu księżyca, seleno, księżyc po grecku) bardzo poetyczne nazwy, które mi ochrzcił owe doliny, mniemane wówczas „morza“, a także nazwał „góry“ i „kratery“ księżycowe, imionami sławnych ludzi. Siebie szuka człowiek, gdzie się jeno zwróci. Mamy więc wśród owych „mórz“ morza Spokojności, Pogody, Płodności, Nektaru, są „jeziora“ Snu i Śmierci, „błota“ Zgnilizny i Mgieł. Morze Deszczów posiada zatokę Tęcz, mamy też ocean Burz. Nie są to morza dla tej prostej przyrody, że księżyc albo wcale nie posiada atmosfery (powietrza), albo też niezmiernie skąpą, wynoszącą, stosunkowo,  $\frac{1}{8}$  atmosfery ziemskiej, a ciśnienia tego nie starcza, by płyn, wodę, utrzymać w stanie płynnym.

Dalej owe góry z charakterystycznymi kotłami kraterów. Jest ich ze 20 sztuk, liczących więcej, niż 100.000 metrów średnicy. Co za olbrzymy! Gdy wędrujemy pod uwagę, że największy krater wielkiej



w porównaniu ziemi wynosi 210.000 metrów (na Ceylonie). Nie są to, przypuszczalnie, wygasłe wulkany, ani tembardziej, wertepy, wywiercone przez meteory (kamienie niebieskie i teoria Wegenera), lecz, jak tłumaczy Ebert, swoiste wklęsłe ściany wulkaniczne, powstałe tym sposobem, że napór mas księżycowej substancji, ognisto-płynnej, wygórowywał tu i owdzie skorupę powierzchni, kształtu ogromnych czapek, te jednak nie wytrzymały własnego ciężaru i zapadały się—lawą znajdowała ujście, tworząc zwąły obrączkowe dokoła brzegów czapki. Kraterów tych ogromnych, mniejszych, niewielkich — bez liku.

Cały księżyc nadzwyczaj górzysty, a góry te sięgają niemal 8 klm. wysokości, co znów jest wielkością bardzo znaczną w porównaniu z obszarem księżycowym, gdy zważymy, iż ziemskie najwyższe szczyty 9-cio klm. nie przekraczają, co prawda licząc od poziomu morza, nie zaś od dna oceanu, jak to właśnie ma miejsce z konieczności, na księżycu — ponieważ wody wyschły już z wiekiem.

Stary jest księżyc wobec ziemi. Tylekroć mniejszy, prędzej przeszedł, niż ona, etapy rozwoju. Czy był ongiś zamieszkałym przez istoty żywe — rośliny, zwierzęta, wyższe twory? Czy jest nim dziś!!!? Oto właśnie te zbyt daleko idące zakusy ciekawości, sztukowanej fantazji. Wielce utalentowany i niestrudzony do śmierci popularyzator astronomji, Flammarion († 1925), w *Astronomie populaire* puszczając wodze swej na wielu polach bujnej wyobraźni (por. wynik szczególniejszej jego ankiety, trzytomową książkę, *La mort et son mystère*): pięknie maluje krajobraz księżycowy. nad którym, na tle nieba, wiecznie czarnego—z powodu rzeczonego braku należycie gęstej atmosfery, rozpraszającej światło barwą uroczego błękitu—wiecznie jaśnieją gwiazdy, pośród nich, w ciągu 14-stu dni ziemskich praży bezprześcannie słońce, podnosząc temperaturę do +100° C., poczem na następnych dni 14 znika... temperatura opada do -273°! a nadto sierpem wznoszącym, pełnią 14 razy jaśniejszą, niż dla nas pełnia księżyca, lub malejącym sierpem lśni ogromne ciało niebieskie: to ziemia. Mieszkańcy Księżyca, Selenici, oddają Jej cześć boską

Jacy mieszkańcy! W starożytności wiersze, przypisywane Orfeuszowi, głosiły sławę Seleny, obfitej w góry i miasta. W epoce odrodzenia cokolwiek opętanego na umyśle matematyka i astrologa, Cardana, odwiedzili dwaj mieszkańcy księżyca... R. 1835 obiegał Europę utwór, rzekomo J. Herschla, gdzie opisani są mieszkańcy księżyca, na skrzydłach nietoperza unoszący się nad sennymi jeziorami... które to dziwotwory ożyły w kształcie „szernów“ na srebrnym globie—Żuławskiego. Fantazje powieściowe Jules Verne'a i Wells'a.

Bo, czy astronom Klein słusznie przypisuje zieloną barwę na morzu Spokoju roślinom — od porostów do cedrów! — czy niesłusznie... cóż na to powiedzieć? Czy taka atmosfera, jak na księżycu, dopuszcza istnienia roślinności, choćby innej bardzo, niż nasza!... Są sceptycy, są nauczyciele. Są i tacy, którzy chcą koniecznie, by tamta półkula księżyca, której my nigdy nie widzimy, miała atmosferę odpowiedniejszą dla życia organicznego. Czemu miałyby mieć? czemu miałyby nie mieć? Pytania bez odpowiedzi. Obecność atmosfery na jednej wyłącznie półkuli byłaby „cudem“ rzecz prosta.

Otóż sęk w tem, że my widzimy zawsze jedną półkulę księżyca: mianowicie, przyciąganie ziemi paraliżuje dotyla obrót księżyca dokoła własnej osi, iż obrotu owego dokonywuje to ciało niebieskie

w czasie dokładnie tym samym, jak i całkowitego obrotu dokoła ziemi... Półkula ta, dzięki obrotowi księżyca dokoła ziemi, przechodzi, jak powszechnie wiadomo, odmiany. Fazy. Mniej znanem jest „światło popielate“, właściwe księżycowi: zaraz po nowiu i tuż przed nim: światło to jest wprost odbiciem światła ziemi od ciemnej tarczy „nowiu“—t. j. w fazie, gdy księżyc znajduje się między ziemią, a słońcem, które oświeca, oczywiście półkulę ku sobie zwróconą, półkula zaś, zwrócona ku ziemi, grąży się w mroku. Sprawę światła popielatego zbadał genialny umysł artysty—uczonego, Lionarda da Vinci († 1518).

Kolejność i równomierny powrót odmian księżyca — wznoszącego sierpa, jasnej pełni, malejącej wraz, wreszcie nowiu, gdy księżyc, zda, zniknął z nieba — wszystko to nie uszło oczom uczonych starożytnego świata. Kapłani Babilonu układali już tablice miesięczne, kalendarz, wedle owych odmian; co więcej, wyliczyli t. zw. „złoty okres“, obejmujący lat 19, po których wszystkie położenia księżyca przez owych lat 19 odpowiadają ściśle położeniom z poprzedniego okresu. Odkrycie to wskrzesił grek Preton r. 433 przed nar. Ch. i złotymi literami wryto je na głazie, podając tym sposobem do wiadomości publicznej.

Kapłani Wschodu, następnie kapłani greccy umieli też wyliczyć i „przepowiedzieć“ zaćmienia księżyca, spowodowane zanurzeniem się tarczy miesięcznej w cień ziemi, którą to umiejętność, niedostępną laikom, wielce podnosili swą powagę. Dość podobne stanowisko zająć potrafił Kolumb pośród dzikich szczepów Jamajki, zamierzających ogłodzić go: rzekł, iż jeśli nie dadzą mu żywności, tegoż wieczora zabierze im księżyc. Nastąpiło wiadome dlań uprzednio zaćmienie: dzicy z przerażeniem naznosili wnet stopy jada — i biały nieznaną bóg przywrócił im łaskawie światłość nocy...

W pojęciach wielu ludów zaćmienie czy to słońca, czy księżyca jest epizodem walk siły złej, mrocznej—ze światłością. W Babilonie, w Chinach, w Peru wszędzie występuje „smok“, usiłujący pożreć światło. Miejsce smoka u ludów europejskich zajęły wspomniane wilki, które zwycięża święty Jerzy swą skrzypką. Netylko w roku wojny 1877 strzelała armja turecka do potwora, chłonącego słońce; w roku 1924 czynili to mieszkańcy Adany (Azja Mn.) podczas zaćmienia księżyca (20 lutego)! Peruwjańczycy usiłowali niegdyś udobruchać smoka słońca, ofiarą jada i napoju, smagania psów, na które „składano“ w owej godzinie grzechy całego ludu (zwyczaj, właściwy ludzom pierwotnym). Wszędzie zresztą u narodów prymitywnej cywilizacji występują te, czy inne ofiary przebłagalne wobec grozy zaćmienia.

Zaćmienie słońca ten ma związek z księżycem, że cień, rzucany przez księżyc, jest jego sprawcą. Pytanie, jakiej miary prorokami byli starzy magowie, umiejący przewidzieć dokładnie datę rzekomego nieszczęścia i kary za grzechy? Warunki zaćmienia są takie: środek słońca, księżyca i ziemi znajdują się muszą na linii prostej, zwanej „linją węzłów księżyca“, (linja przecięcia się płaszczyzn torów ziemi i księżyca), lub w jej pobliżu. Przyczem, przy zaćmieniu słońca znajdować się musi księżyc między słońcem a ziemią (faza nowiu), przy zaćmieniu księżyca zaś — poza ziemią (faza pełni). Okres niezmienny, po którego upływie księżyc wraca do tego samego punktu na linii węzłów, nazwany jest, śladem starożytnych pojęć, miesiącem smoczym. Ustalenie go zależało tylko od pilnej obserwacji dnia „powrotu

smoka", bo nigdy nie chybia terminu. — Dlaczego wreszcie nie każda pełnia i nie każdy nów, przypadają na linii węzłów, lub w jej pobliżu, czyli dlaczego niezawsze towarzyszą im zaćmienia? Wynik to osobliwości ruchu tych ciał niebieskich, co jest sprawą zbyt obszerną, by mogła być tu wyjaśniona (t. zw. ruch wsteczny linii węzłów) Oto w krótkości wszystko, co dotyczy praktycznej Latarni Nocy, patrona złodziei, sów, nietoperzy, czarownic, lunatyków — i zakochanych. Nieodzowny



rekwizyt romantyzmu: pobiera groby, odrapaną izbę nędzną stroi brokatem, ruiny wstają, dzięki niemu, w świetności, której nie znały; gdy, całe jeszcze, sitem nie przelewały promieni. Sam złodziej, kradnie słońcu blask; symbol mimolotnej, nawrotnej władzy, za którą tęsknią grób, nędza i ruina. „Nacząynie smutku“, la grande Taciturne, jak powiada Baudelaire, z czego w języku Sarmatów rodzi się groteska: Franttstary wojewoda srebrny. Milczek w lisiej czapie. Z. Reutt-Witkowska.

ANNA SŁONCZYŃSKA.

## GÓRY

*Niewzruszone, jak wieczność — ciężkie, jak cierpienie,  
jak strach przygniatające — twarde, jak konieczność,  
i, jak ideał, wyższe — ponad wszystko...  
stopami, rosnąc w ziemię, a czołami w chmury,  
i ludzi mając blisko i aniołów blisko,  
między ziemią a niebem sprawujemy czaty,  
my — Góry: Prawa Natury.  
Tezy. Kanony. Dogmaty.*

*Maszerowała po nas — stuleci piechota.  
Kopała nasze grzbiety — wichrów kawalerja.  
Hartowała nam piersi, nakształt razów młota,  
bombardująca zgóry — burzy artylerja.  
Woda — zziębana w wiecznej ze sobą rozterce —  
zawiścią nam żelazne podmywała stopy.  
Ogień — wróg zagorzały twardości i zimy —  
do naszych marmurowych żył wlewał — ukropy:  
nlepkające w gromach chcąc nam spalić serce.  
I wszyscy pierzchli — znikli — opadli, jak dymy:  
— stoimy!..*

*Przestrzeń u nóg nam leży — pokorna i płaska,  
niby wstążka: z głów naszych zdmuchnięta przepaska —  
Czas, co wszystko w żarłocznych swych chowa wnętrzo-  
lamie zęby na naszych granitowych kościach — [ściach].  
Życiu i Śmierci: nieustraszonym turystom,  
pnącym się na wyżyny chytrym swoim chodem*

*po wiktorskiej szczyt, jak po pewność oczywistą,  
zatrzymujemy krok — hipnotyzmem spojrzeniem,  
naszych ogromnych oczu spokojnem spojrzeniem,  
patrzącem — Wiecznym Lodem..*

*W kościele świata, który jest słaby, choć dumny —  
wśród trzęsień ziemi, skoków dręczonej potrzeba —  
przy muzykach żywiołów, nie znających miary —  
my jedne nie chwiejemy się nigdy: filary  
o rzeźbionych Najwyższą Ręką kapitelach..  
Świata kolumny,  
na naszych nieskalanych czoł dziewiczych bielach  
podtrzymujące — Niebo!*

*I dopiero po latach, kiedyś, gdy świat stary,  
jak stary kościół, trumien pełny i popiołów.  
będzie pękać, na własny pogrzeb bijąc w dzwon —  
a po nas, jak po schodach Jakóbowej miary,  
w wichurze swych aniołów  
schodzić zacznie  
On..*

*Zadrżymy po raz pierwszy: kolosy podniebne —  
ugniemy serca, które dochowały wiary,  
i, jak szańce, w zwycięstwa dniu już niepotrzebne,  
od oddechu Jego nieśmiertelnych ust:  
— spłonimy..*

WANDA MIŁASZEWSKA

## GRANDE-GRILLE

4

*Szkic powieściowy.*

I nie mogła przestać go kochać nawet wtedy, gdy usłyszała tę okropną rozmowę. Nawet wtedy.

Nie miała zamiaru podsłuchiwać. Nie przyszłoby jej to do głowy. Zresztą zbyt słabo znała niemiecki język. A jednak z tych kilkunastu zdań, usłyszanych przypadkiem, zrozumiała wszystko do ostatniego słowa. pojęła całą prawdę błyskawicznie, jakby w nagłym olśnieniu.

Stała wówczas w szpalerze różanym, obcinając ostatnie, blade pączki jesienne. Zapadał mrok. Tamci dwaj przechodzili ścieżką opodal. Nie dostrzegli jej, rozmawiali głośno, swobodnie. Gyurka Francegh zatrzymał się, aby zapalić papierosa. W blasku płonącej zapalniczki zobaczyła wyraźnie nalaną twarz tamtego, Niemca, o rudawym zaroście. Gyurka, jej Gyurka, powiedział, kończąc jakieś rozpoczęte zdanie:

— ...tak. I udało mi się dzięki tej pannie. Zadrzyła się we mnie, laźła na moje czułe słówka, jak mucha na lep. Samemu byłoby mi o wiele trudniej. I niebezpieczniej. Gruchająca para nie wygląda tak podejrzanie, jak cudzoziemiec, włóczący się po okolicy. Zwiedziliśmy razem sporo uroczych zakątków. Panna unosiła się nad pięknnością pejzażu. O świcie wracałem tam sam jeden z aparatem fotograficznym i mapą...

Niemiec zaśmiał się grubo.

— So! So! — i poklepał Gyurkę po ramieniu. Zawsze skorzystasz coś przy sposobności, ty sprytna bestjo węgierska! Ty się zawsze podwójnie obłowisz, masz do tego szczęście! Wtedy przy jednym ogniu upiekłeś dwie pieczenie, a dziś...

Tamten przerwał mu:

— Daj spokój! To dobra dziewczyna i w gruncie rzeczy podoba mi się naprawdę. Gdyby nie była cudzoziemką... Jest w niej coś, co chwyta za serce i każe o niej myśleć z szacunkiem. Ona mnie rzeczywiście kocha...

— No, no, nie zapominaj tylko, że ktoś z Pesztu bardzo mię wypytywał o ciebie. Ktoś nie mniej piękny i miły, jak twoja baronówna...

— Któż taki? — spytał Gyurka dość obojętnie.

— Nie wiesz? Udajesz chyba, zdrajco. Inka Petöfi kazała ci powiedzieć...

Kroki oddaliły się. Raz jeszcze zamigotał poprzez gęstwinę liści czerwony ogień papierosa. Reszta zdania rozplynęła się w ciszy.

Tak, to był cios. Baronówna długo stała wśród swoich kwiatów, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Doznawała takiego uczucia, jakby jej serce zmieniło się w bryłę lodu, który aż parzył swem zimnem. Więc była dla tego pięknego chłopca tylko narzędziem pomocnym w jego „ważnej i niebezpiecznej misji“, a prócz tego miłą chwilową rozrywką. Ona! ona, która...

Jednakże zebrała wszystkie siły, aby się opamiętać. Ze zwykłym pogodnym uśmiechem zaszła do ojca, aby mu powiedzieć „dobranoc“. Potem kazała służbie zapalić światła w jadalni i zdjąć jedno narkotyk ze stołu. Ponieważ oficer nie zjawił się na kolację, poleciła zanieść zimne zakąski do jego pokoju i poszła na górę, trzymając się poręczy schodów. Ze spokojem przekręciła klucz w zamku dwukrotnie, poczem w ubraniu położyła się na łóżku, usiłując czytać i rozumieć sens czytanych wyrazów.

Pomimo to łowiła uchem każdy najmniejszy szelest. O północy (zegar właśnie kończył uderzać godzinę) usłyszała znajome kroki w korytarzu i ciche stukanie do drzwi. Piękny oficer powrócił więc do domu.

Zacisnęła zęby, aby nie jęknąć, a gdy po pewnym czasie zastukał powtórnie, czekała, drżąc i wstrzymując zbyt głośny oddech, kiedy wreszcie odejdzie i wróci do siebie. Lecz Gyurka nie odchodził. Po długiej chwili odezwał się wyraźniejszym szeptem:

— Lizo. To ja. Czy słyszysz? Otwórz mi, Lizo...

Milczała, rachując uderzenia własnego serca. „Nie, nie — poruszały się jej zaschłe wargi w bezgłośnym proteście. To się nie stanie. On musi odejść. Musi.“

Jakoż — odszedł. Powolne, ociągające się kroki głucho dzwoniły w korytarzu, „Tak może odchodzić życie...“ — pomyślała, chowając głowę w poduszki, aby stłumić gwałtowne szlochanie.

Wrócił raz jeszcze tej samej nocy. Słyszała, jak się skradał, poomacku szukając drogi wzdłuż ściany. Znalazłszy wreszcie drzwi, przylgnął do nich twarzą (czuła to) i rzekł półgłosem, tonem błagalnym:

— Lizo, czy śpisz? Otwórz mi chociaż na chwilę. Otrzymałem wieczorem rozkaz. Muszę wyruszyć przed świtem. Czy miałbym odjechać, nie zobaczysz się z tobą?

Wyciągnęła ramiona w próżnię, ale milczała. Oddech jej zamarł, głos uwiązał w gardle. „To nieprawda — myślała — On kłamie. On kłamie. Wtedy także mówił o wyjeździe“.

Nad ranem usnęła wreszcie, znużona łzami. Obudziło ją rzenie koni i stłumiony, oddalający się tętent. W mgnieniu oka oprzytomniała, podbiegła do okna, otworzyła je: przed domem nie było nikogo. Natomiast daleko w końcu ogromnej alei znikają jedna za drugą błękitnawe postacie jeźdźców.

Wówczas dopiero baronówna uprzytomniła sobie, że Gyurka Francegh tym razem nie kłamał, że odjeżdżał naprawdę i pewnie już na zawsze.

„Nessun maggior dolore, que ricordarsi i tempi felici...“

Mogła teraz powtarzać słowa boskiego poety we wszystkie dni, których nastąpiło tak wiele, a choć mijały szybko, powiększały tylko bezkresną przepaść między słonecznym „wczoraj“, a beznadziejnym jutrem.

Zginęła ostrokańciasta, mroźna, stalowa zima, roztopiwszy ostatnie śniegi w ciepłym spojrzeniu marcowego nieba.

Przeszedł kwiecień, zielony, jak liść sałaty, i maj, ledwo widoczny z pod kwiecica. Pięciopalczaste łapy kasztanów ujęły krzepko tysiąc jarzących świeczników, a w krzewach bzu, jak każdej wiosny, płynęły słodkie strumienie miłosnej pieśni słowiczej.

Z nadejściem ciepłych dni baronówna rozpoczęła swoje konne spacerki, odtwarzając chwila po chwili minione godziny szczęścia.

Jeździła cienistym wozem, słuchając szumu wody po kamieniach i szelestu potrącanych gałązek,

Grande-Grille stąpała uważnie, schyliwszy piękną głowę ku ziemi, jakby szukała dawnych śladów.

Nie kierowana, odnajdywała zgubione wąskie ścieżynki, wiodące ku szmaragdowym polanom, pełnym słońca. Dotarłszy do nich, zatrzymywała się, zdziwiona, że nikt nie myśli o popasie wśród bujnej, soczystej zieleni.

Wówczas Ludwika zeskakiwała z siodła. Siadała na pierwszym napotkanym pnju i pozwalała ulubienicy szczypać trawę w pobliżu. Sama zaś oddawała się marzeniom.

Myślała: gdzie on jest w tej chwili? myślała: czy pamięta o mnie? myślała: tęskno mi... I przymykała oczy, a duże spokojne łzy spływały bez bólu z pod powiek.

Czasem też wyjmowała starannie złożoną karteczkę i odczytywała ją po raz setny, zawsze z tym samym wzruszeniem:

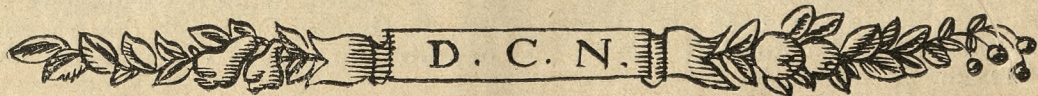
„Moja droga Lizo. Odjeżdżam. Nie mogłem cię nawet zobaczyć. Zamknęłaś się, niedobra i nie chciałaś otworzyć. Czyżbyś nagle przestała mię kochać? Odjeżdżam z prawdziwym żalem. Byłaś taka promienna i słodka, moja mała, kochana Lizo, w ciągu tych krótkich dni. Dziękuję ci za wszystkie jasne chwile, które przeżyłem dzięki tobie. Myśl o mnie z dobrocią. O to cię prosi Twój  
Jerzy.

Kto wie, kiedy i gdzie znów się spotkamy.“

Baronówna składała starannie małą karteczkę i kładła ją na sercu, na tem niemądrém sercu, które nie umiało zapomnieć. Potem podchodziła do klaczy, pasając się spokojnie i przytulała do jej szyi twarz rozpaloną, szepcząc:

— Grande-Grille! Tybyś może znalazła drogę. O, zawieź mnie, zawieź mnie tam, gdzie jest Gyurka. Nie umiem żyć bez niego!

Stary, od lat sparaliżowany baron umarł pewnego letniego popołudnia. Stało się to zupełnie nagle. Ludwika siedziała przy nim wtedy, mieszając łyżeczką herbatę, aby prędzej ostygła. Przez okno, otwarte na oścież, płynął gorący powiew o słodkiej woni lipowego kwiatu, smukłe lilje na wysokich łodygach obojętnie pozwalały pszczołom roznosić złoty pył z kielichów. W powietrzu, mimo nieustannego brzęczenia owadów, królowała senność.



MARJA KUNCEWICZOWA

## PRZYMIERZE Z DZIECKIEM

I.

Sama była w domu.

Przebrzmiały w sieni hałaśliwe kroki; mąż już pobiegł ulicą ku nieciekawym męskim sprawom; po kątach mieszkania drgały jeszcze ostatnie fale słów, śmiechu i krętaniny. Ale szybko marły te fale, zaś na ich miejsce występowała zaskórna woda ciszy.

Pokoje napełniały się zmierzchem. A wśród szarego rozlewu sprzęty — obmyte z cudzego życia — odzyskiwały twarze własne. Zegar, który przed chwilą jeszcze był obłudnym gorliwcem, drepcącym w kierunku, wkroczył śmiało na ścieżkę wieczności. Po-

Baronówna spojrzała na ojca. Zdawało jej się, że usnął. Przeniosła wzrok w kierunku drzwi, za którymi dało się słyszeć stąpanie.

— Czy to Antoni? — spytała i ogarnął ją nagle dziwny, niewytłumaczony niepokój.

Baron otworzył oko, jedyne swoje żywe oko w obwisłej powiece. Twarz mu się raptownie skurczyła jeszcze bardziej, usiłował coś wybełkotać, ale z gardła wydobył się tylko chrapliwy dźwięk, niepodobny do mowy ludzkiej. Potem zlekka poruszył głowę — opadła na lewe ramię.

W progu stanął służący.

— To ja, proszę jaśnie panienki. Właśnie...

— Tss... — położyła palec na ustach i wskazała fotel chorego.

Stary lokaj zbliżył się, spojrzął i znieruchomiał prawie tak samo, jak leżąca wśród stosu poduszek sztywna postać z głową przekrzywioną.

— Ojczel! — jęknęła baronówna, trzęsąc się, jak liść. Niechże Antoni biegnie... Trzeba zaraz doktora...

— Jezusie! — westchnął służący — Mnie się widzi, proszę jaśnie panienki, że jaśnie pan — już — skończył...

Doktor, sprowadzony z miasteczka, stwierdził skon i napisał odnośne zaświadczenie. Wszyscy w domu, nie wyłączając masztalerza i gospodyni, potrącili głowy, biegali z kąta w kąt, lamentując i naradzając się, co robić dalej. Rzecz dziwna: okazało się, że człowiek przykuty do fotela na kółkach, spowity w pledy, jak mumja i niezdolny rzucić jednego zrozumiałego słowa, faktycznie do chwili śmierci był tu panem i władcą. Dopóki w tej zniszczonej powłoce ziemskiej kołatały się resztki życia, — ostatnie jego refleksy — każdy zajęty był swojemi sprawami i zapominał o istnieniu starca. Teraz nagle wszyscy spostrzegli jego brak, uczuli się bezradni i opuszczeni.

Baronówna zamknęła się w swoim pokoju, płacząc i jakając słowa bez związku, że ona nigdy nie chciała śmierci ojca, że kochała go i pragnęła, aby żył jak najdłużej. Antoni, który zeszedł dowiedzieć się, co teraz czynić wypada, otrzymał przez drzwi krótką odprawę:

— Zostawie mię. Dajcie mi spokój. Nic nie wiem.

zapomniała o sobie. I była szczęśliwa. Głosy z podwórza przychodziły beczcielsne, jak echa katastrof szalejących gdzieś w nikomu niewiadomych krajach. Turkot dorożek i samochodowe wrzaski szturmowały dom — rzekłbyś spienione bałwany, tańczące u stóp skały. Wyciągnięta na kanapie, pani przymknęła oczy i cała wsiąkła w zielone gwiazdy, pulsujące pod powieką.

Aliści od strony sufitu, który był, jak gdyby naskórek oceanu, chwytający powietrze z obcego świata, nadeszło zawołanie: wstrząs drobniutki, błyskawica dźwięku. To sąsiad z czwartego piętra uderzył w klawisz. Ton roztrzącił fale ciszy i spadł na samo jej dno, aż w serce Teresy. Więc obudzone nerwy brzęknęły na alarm, i zaraz rozruch poszedł po domu, zataczając kręgi zrazu małe, potem coraz szersze, że stanęły na baczność przedmioty i czekały ludzkiego dotknięcia.

Pan z czwartego piętra zaczął grać na dobre. Niewiadomo zresztą było: pan to, czy dziewczyna; karjerowicz, który zapluł ostatnie swoje marzenie, czy męzatka, która nigdy nie miała romansu. Ktoś smutny, a obrzydzony siadł przy fortepianie i puścił luzem myśli na biało-czarne klawisze... Najpierw padło pytanie. Ono właśnie, ten dźwięczny rekonasans we wszystkie sąsiednie światy, dotknęło Teresę. Tak było wzdęte łzami, takie dojrzałe i ważne, że pierwsze wypłynęło za krawędź milczenia...

Wsiąkło. Obudziwszy cudzą ciszę pytaniem, człowiek grający nie czekał odpowiedzi; czempredziej wygadywał w przestrzeń swoją udękę.

Posypały się pasażerowie gderliwe (starcze jakieś zrzędenie), co kilka taktów znaczone czerwoną fermatą, jak przypomnieniem młodości. Urągały, a urągały bez końca, świecąc w przelocie ranami.

Niby to były polubowne, niby z losem zbratane; w ostatnim słowie jednak zawsze krzyczała pogrózka.

Splnęły wreszcie.

Złem okiem łypnęła pustka. Pan (może dziewczyna?) przeszedł w l'argo. Co było kurzem, miałką obrazą, codziennym smuteczkiem — przesuwało w pasażach, i poszło! Teraz odezwał się głos mądry, jak gdyby źródło wszystkich ech, i zwolna a dobitnie przemawiał z serca do serca. Rozprowiał się z ludźmi wedle prawa ludzkiego i ku Bogu zwracał orzeczenia zgoła boskie. Potem każdego zawołał po imieniu.

Jeden akord wyraźnie powiedział: Teresa. Zrozumiała i bez protestu otworzyła duszę. Chciała usłyszeć, przyjął zwierzenia i zaradzić...

Więc leżała tak rozprężona, ochotna miłośniczką, rozwartą na wszelkie czucie.

Człowiek z nad sufitu zagadał, jak udęczony przyjaciel. Mówił rzeczy wstydlive, wyznawał najdokuczliwsze tęsknoty; płacząc w rytmie walca, zdawał się panną świadomą i głodną miłości; to znowu wśród bojowego rubatto ukazywał twarz męczyzny, który pokonał wroga i sam wygląda, ktoby go zgniótł władczą stopą.

Raz tony śmiały się prowokująco, rzekłbyś dama igra z kochankiem; później zaraz wykwiatało *cantabile* iście chłopięcej ufności...

Sprawy te nad wyraz żywe i wymowne krążyły przed Teresą, dobijając się do jej zmysłów, niczem ptaki za szybą w dzień bardzo mroźny. Patrzyła na

nie bez zmruczenia powiek — przychylna i wtajemniczona... Ale nerw żaden nie dawał przystępu włóczęgom

Aż poruszyło się zawstydzone sumienie: „Czemżeś to twarda taka, duszo nieużyta? Czemuż nie oddzwiekiesz na skargę? Jutro może sama zechcesz grać własną krzywdę, a ucho niczyje nad skargą twoją się nie pochyli...”

Teresa pogłębiła gotowość; do łez zapragnęła polubić gawędę z nieznanym. Najczulszemi wyrazami przyzywała dobroć, by rozpałała jej pełnię... Intencje krzątały się po wierzchu, jak mrówki — wnętrze zostawało szczęśliwe i chłodne.

Wtedy sąsiad z czwartaka wpadł w zapamiętanie: myśli wymknęły się palcom i rozpełzły bez sensu po biało-czarnych klawiszach. Biegały tam i sam śmieszne wykrzykniki, podrygiwały płacze i śmiech zsuwał się z arpeggiów, niby paciorki ze sznura.

Z melodji wypłynęła krew; zostały puste dźwięki, które w podrygach marjonetkowych tłoczyły się i stukały o siebie, jak malutkie szkielety. Wreszcie hałas doszedł do nieznośnego fortissimo, szczyknął wysilonym głosem, i rozpadł się w miliony zgrzytów.

Fortepian zamilkł.

Teresa nasłuchiwała czas jakiś, jak kwilą struny, nieludzko zmalretowane dłońmi człowieka. Potem wstała z kanapy — wypoczęta i świeża — i z pilnikiem w ręku podeszła do okna.

Latarnia zajrzała jej w oczy, latarnia spłoniona po dziewczęcemu, zachęcająca i poufna. Pani uśmiechnęła się do niej serdecznie, jak do drogiej siostry, i sama stanęła w blasku najzdrowszej błogości.

— Proszę pani, praczka — furknęły obrażone słowa służącej. Głowa kostropata od loczków i grzywek wsunęła się do pokoju.

— Pani mówiła, że się sama rozmówi, mnie się tam o to nie rozchodzi... — wzruszenie ramion, błyskawiczna galopada oczu po wszystkich kątach, i drzwi zatrzasnęły się znowu. Po chwili weszła praczka.

Zawiązano rozmówkę fachową, nie pozbawioną towarzyskich dygresyj, a nawet argumentów natury politycznej. Teresa — z włosami zlanemi krwią zachodu — siedziała na tle okna, jak renesansowa dama wtłoczona przez antykwarza w ramy modernistyle'u. Pod ścianą jazgotała praczka.

— Co do florku nie potrzebuje się pani obawiać; sody musowo jest dodać troszuchne, ale co tyś tam do tego florku, to na't zbytownie jest mówić...

Kobiecina była drobna, z twarzą ptaka i z bruchem kangura. Spojrzenie tak miała wymyte parą i łzami, że ledwie na samym dnie oczodołów majaczyły wiotkie smużki błękitu. Te oczy nie brały udziału w wymowie warg: zawsze, niezmiennie prosiły. Bez względu na to, czy praczka zlorzeczyła drożyznie, czy wypierała się chlorku, czy szeptała donosy na kuchnię, żrenice jej prosiły bez wytchnienia. I to z krzykiem, z uniesieniem bez granic, z modlitwą. Niewiadomo było, czego chcą tak natarczywie dwie dawno wyblakłe plamki, przysięgły tylko, że nakryte powieką, a nawet nieżywe, skomleć będą jeszcze. Natomiast nigdy nie słyszała Teresa jednego słowa prośby z ust pani Kwiatkowskiej.

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

19

9-go czerwca zbiera się w Orleanie 8,000 zbrojnych. Mieszczanie, nie wiedząc już, jak objawić swej wybawicielce wdzięczność, ufność i cześć — nietylko łożą złoto na kosztą tej wyprawy, lecz dają amunicję i pożyczają swe wypróbowane działa, oraz przybory oblężnicze — wszystko na ręce Joanny, którą jedną za wodza uznają. Niewątpliwie w ten sposób uradowali ją najbardziej — gdyż od początku swej kariery wojennej objawiała szczególne upodobanie do artylerji i przedziwnie orjentowała się w jej znaczeniu.

11-go czerwca, o najcięższej porze roku, jechała Dziewa, z księciem d'Alençon, w straży przedniej armji, znów na wroga. Czując się już w pełni wodzem, uznała za właściwe przystroić się zgodnie i zbroję miała teraz wspanialszą i suknie<sup>1)</sup> na niej nosiła „barzo szlachetne, ze złocistego sukna i jedwabi, dobrze podbite“.

Jakże radośnie musiała witać rumaka i zbroję, jak upojnie szumiał jej w uszach pęd wonnego powietrza! Dreszcz odeń chodził świetlisty po burzanych pól wyniszczonych i po zbożach, gdzieśgdzie kwitnących — a lasy wrzały wesołą ptasią pracą około gniazd, dysząc zaczarowanym tchem storczyków...

Zbliżano się już do murów Jargean, gdy gruchnęła po wojsku pogłoska, że ów Falstolf, wiecznie wyczekiwany, nadchodzi teraz Anglikom z odsieczą.

Zmieształ się książę, niepewny, czy atakować miasto — lecz Joanna dodała mu otuchy:

— Nie strachajcie się, choćby ich óma sroga była — a nie wahajcie się uderzać na Angielczyków, albowiem Pan jest z nami. Jeźlibych nie wiedziała pewno, iż Pan przewodzi onemu dziełu — wołałabyh strzec owiec, niżli podawać się w tak srogie obieże<sup>2)</sup>.

Na przedmieściach już napotkano opór, przed którym szyki francuskie poczęły się mieszać i cofać. Joanna znów, jak pod fortem Augustjanów, rzuca się naprzód ze swym sztandarem i porywa za sobą wszystkich, nie ustępując z pola, aż do zwycięstwa. Ona też nazajutrz ustawia działa i kieruje atakiem, a gdy mury nieprzyjacielskie kruszyć się już poczęły, woła do Anglików:

— Ostawcie pole Panu Niebios i królowi Karolowi! a idźcie precz, jeżeli nie chcecie przywieść na się nieszczęścia!

Zniecierpliwiona nieczynnością nominalnego wodza, podnieca go ognistemi słowy:

— Naprzód, do szturm, miłościwe książę! Przez bojaźni! poza nam po myśli, skoro Bóg sprzyja i trza poczynać, gdy On chce. Działajcie, a Bóg działać będzie!

W chwilę potem napomina już, nie bez serdeczności jednak:

— O, miłe książę, zaliż się strachacie? Nie baczycie to, jakom obiecała żonie waszej przywieść was nazad w zdrowiu i cale? <sup>3)</sup>

Pamiętna tej obietnicy, a obserwując snąc dobrze ruchy artylerji angielskiej, woła zaraz troskliwie:

— Odejdźcie stąd! bo was ona machina zabije!

D'Alençon odskoczył jeszcze w porę, a pocisk kolubryny roztrzaskał głowę innemu rycerzowi, który stanął na tem samym miejscu. Siebie samejżakże Joanna nie oszczędza, wdzierając się pierwsza na przystawiane do murów drabiny. Zimny dreszcz

przebiega całe wojsko, gdy jakiś celny cios kamienia, zgóry uderzywszy w hełm, ogłuszył i strącił nadół nieustraszoną przewodniczkę. Ale ona zrywa się natychmiast, z okrzykiem bojowym:

— Nuże, nuże, przyjaciele! Pan wydał wyrok na Angielczyków — o tej godzinie oni już nasi! Nabierzcie serca!

W chwilę potem Francuzi wdarli się do twierdzy. W panicznej ucieczce wymordowano kilkuset Anglików; wódz ich, książę Suffolk, dostał się do niewoli. Istnieje wersja<sup>4)</sup>, że wołał, gdy go brano:

— Nie wam, nie wam, choćbyście mnie ubili, ino się poddam Dziewce, boć ona ze wszech niewiast we świecie najwaleczniejsza!

Nawet Joanna nie zdołała przeszkodzić licznym, zuchwałym rabunkom. Może to tam, w Jargean, przedstawia ją Andriolli, piersią własną i rozpostartymi ramionami broniącą kościelnego ołtarza przed rozbestwieniem żołnierskim?

13-go maja powróciła do Orleanu; wdzięczne miasto ofiarowuje jej 4 beczki przedniego, starego wina<sup>5)</sup> i wspaniałą suknię w barwach ks. Orleanu, zieloną ze szkarłatem. Joanna nosiła ją chętnie, gdyż średniowieczne przywiązanie do suwerenów tkwiło, zdaje się, mocno w jej naturze, a po królewskim domu najbliższym jej sercu był orleański... Niedola młodego księcia, więzionego już od 14 lat, wzruszała ją ogromnie; mówiąc o zadaniach, włożonych na nią przez Boga, wymieniała często, jako jedno z nich, uwolnienie jego. Nie wiedziała, że smutna młodość złamała zupełnie duszę tego łagodnego artysty — filozofa i że idea walki o honor i wolność była mu całkiem obca. Może i słusznie zauważa A. France: „Lepiej, że się nigdy nie widzieli“. Znając w nim jeno męczennika ukochanej sprawy, mogła mówić z radością nawet: — „Wiem — ci ja — przez objawienie — iż Bóg bardziej nademnie miłuje mojego króla i księcia Orleanu — w onem, co tycze cielesnej wygody“.

I w tej pokorze widać przecie poczucie własnej wyższości duchowej. Ta genialna, a bajecznie zdrowa dziewczyna spotykała na swej drodze samych degeneratów, jako przedstawicieli bronionego tak dzielnie autorytetu...

14-go maja wzięła szturmem most na Loarze, prowadzący do twierdzy Meung. 15-go i 16-go dobywała Beaugency.

W okresach tak wytężonej akcji sypiała zawsze w pełnem uzbrojeniu. Tak spoczywającą wyczarował niegdyś moim oczom subtelny jakiś malarz (nie wdzięcznie dziś zapomniany): rozciągnięta prawie nawznak, pod światłem wiszącego kaganka, pokazuje twarz, niemal dziecinną w swej słodkiej ufności i ręce, skrzyżowane bezwładnie na pancerzu. A stopki, zakute w żelazo, podtrzymuje oburącz młodziutki, skrzydlaty anioł, nachylony opiekuńczo i skupionym profilem wpatrzony troskliwie w oblicze śpiącej. Zda się, że na zbroicy leżą rozrzucone róże — bliskie krewne tych, co padły w chacie sybirskiej na łożo Ellenai...

<sup>1)</sup> Hugues.

<sup>2)</sup> Niebezpieczeńs'wa.

<sup>3)</sup> W całości.

<sup>4)</sup> Chronique de la Pucelle.

<sup>5)</sup> Takie dary świadczone tylko największym dostojnikom

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### POŚLANKI CZESKOSŁOWACKIE.

Według informacji pism czeskich, w parlamencie czeskosłowackim znajduje się dziesięć kobiet posłanek w senacie zaś — pięć. Należą one przeważnie do obozu lewicowego. Czechosłowackie stronnictwo socjalistyczne liczy dwie posłanki i dwie senatorki; niemieckie stronnictwo socjalistyczne — dwie posłanki, partja komunistyczna — trzy posłanki i jedną senatorkę.

### NAJLEPSZA STRZELCZYNI FRANCUSKA

Francuzka, pani Catherinet, otrzymała niedawno pierwszą nagrodę na konkursie strzeleckim. Do konkursu tego stanęło kilkudziesięciu mężczyzn i jedna tylko kobieta, ta kobieta jednak pokonała wszystkich swych współzawodników celnością strzałów. A zatem i w tej dziedzinie kobiety nie ustępują mężczyznom!

### HIGJENICZNE UBRANIE — PRZYCZYNA DŁUGIEGO ŻYCIA.

Francuskie pismo lekarskie p. t. „Le Mouvement Sanitaire” ogłasza artykuł jednego ze znanych lekarzy-higienistów, doktora Eugenjusza Briau, zawierający ciekawe zestawienie wagi ubrania męskiego i kobiecego.

Dr. Briau wziął za obiekt swych doświadczeń dwoje młodych swych pomocników laboratoryjnych — młoda studentkę lat dwudziestu i brata jej, studenta lat dwudziestu dwóch. Ubranie ich zostało związane po kolei i waga każdej sztuki bardzo skrupulatnie wynotowana. Otrzymano z tego następujące zestawienie:

**Waga ubrania męskiego.** Koszula i kołnierzyk: 430 gramów, skarpetki 95 gr., dolne ubranie: 170 gr., szelki i podwiązki: 140 gr., ubranie zewnętrzne: 2 kg. 70 gr., „buwie 950 gr., kapelusz: 130 gr., palto: 2 kg. 445 gr., zawartość kieszeni: 550 gr., zegarek z łańcuszkiem: 105 gr. Razem: 7 kg. 85 gr.

**Waga ubrania kobiecego.** Koszula: 75 gr., pończochy: 55 gr., reformy: 80 gr., gorset z podwiązkami: 125 gr., combinaison: 70 gr., suknia: 100 gr., pantofle: 420 gr., kapelusz: 85 gr., palto z kołnierzem futrzanym: 1 kg. 380 gr., torebka ręczna wraz z całą zawartością: 280 gr., naszyjnik ze sztucznych pereł: 25 gr. Razem: 2 kg. 695 gr.

Z zestawienia powyższego wyprowadza Dr. Briau wniosek że dłuższe przeciętnie życie kobiet, stwierdzone niezaprzeczalnie przez statystykę, przypisać należy bardziej higienicznemu ich sposobowi ubierania się. Ciężkie i szczelne ubranie męskie, nie dopuszczające powietrza do skóry, powoduje przedwczesne starzenie się, choroby różnych organów itp. Mężczyźni również skłonniejsi są naogół do zaziębień, niż kobiety, bo także da się uzasadnić mniejszym zahartowaniem ciała na wpływy atmosferyczne ze względu na ciężar i nieprzewiewność ubrania męskiego. Hipotezę swą popiera dr. Briau jeszcze następującymi dowodami: od urodzenia do wieku lat mniej więcej 18 — 20 śmiertelność wśród chłopców i dziewcząt jest mniej więcej jednakowa, dopiero po latach 20 przechyla się wyraźnie na stronę mężczyzn. Daje się to wytłumaczyć właśnie tym faktem, że w wieku dziecięcym chłopcy bywają ubierani również lekko, jak dziewczynki. Jeszcze w wieku szkolnym młody chłopak nosi ubranie sportowe, szyję ma przeważnie odsłoniętą, używa dużo sportów, gimnastyki itd. Dopiero po ukończeniu szkół, razem

z patentem dojrzałości i rozpoczęciem pracy zawodowej, mężczyzna wkłada wysoki, sztywny kołnierzyk, ciężkie i obcisłe ubranie i tem samem podpisuje na siebie wyrok śmierci.

Możnaby zarzucić memu twierdzeniu — mówi dr. Briau, że większa śmiertelność wśród mężczyzn po roku dwudziestym życia ma inne powody, mianowicie pracę zawodową, podczas której mężczyzna narażony bywa nieraz na wielkie niebezpieczeństwa, jak np. praca w kopalniach, niektórych fabrykach, służba wojskowa itd. Na to jednak odpowiem, że: po pierwsze — kobiety również pracują w tych fabrykach, gdyż niema dziś takiego zawodu, ani takiej gałęzi przemysłu, gdzieby nie było licznych pracownic kobiecych — po drugie zaś, nie wolno nam zapominać o największym niebezpieczeństwie, jakie pochłania corocznie tysiące ofiar kobiecych: niebezpieczeństwo macierzyństwa, przy którym każda kobieta ryzykuje swem życiem w sposób niemniej istotny, jak mężczyzna na polu walki. Jeśli więc pomimo to wszystko kobiety żyją dłużej i chorują rzadziej, niż mężczyźni, przypisać to należy jedynie ich bardziej higienicznemu trybowi życia wogóle, w szczególności zaś — lekkiemu i higienicznemu ubraniu.

### DEKALOG ARTYSTKI EKRANU.

„Photoplay”, miesięcznik amerykański, poświęcony sprawom teatrów świetlnych, podaje następujące „Dziesięcioro przykazań” dla wszystkich adeptek sztuki kinowej, ułożone przez jedną ze słynnych gwiazd ekranu:

„Jeśli chcesz zostać naprawdę dobrą artystką kinową, musisz posiadać następujące warunki:

1. Być zręczną i pełną wdzięku.
2. Wyrobić sobie własną indywidualność zarówno w życiu, jak w sztuce.
3. Być piękną, lub przynajmniej oryginalną i pociągającą.
4. Być inteligentną i wykształconą.
5. Mieć dużo wyobraźni twórczej.
6. Mieć silną wolę i charakter.
7. Być uprzejmą dla wszystkich bez wyjątku.
8. Mieć dużo krytycyzmu w stosunku do samej siebie, a wyrozumiałości w stosunku do współzawodniczek i koleżanek.
9. Być dobrze wychowaną.
10. Pamiętać zawsze o swoim wieku i wybierać tylko takie role, które się zgadzają — z twoim wyglądem, typem i uzdolnieniami.”

### PIERWSZA LOTNICZKA AMERYKAŃSKA.

Pierwszą lotniczką w Stanach Zjednoczonych jest panna Viola Jacktry, zamieszkała w Nowym Jorku. Zajmowała się ona przedtem pracą biurową, w wolnych zaś od tego zajęcia chwilach poświęcała się lotnictwu. Jeden z lotników, widząc jej zamiłowanie w tym kierunku, namówił ją, aby poświęciła się fachowo temu zawodowi i wystarał się o przyjęcie jej do szkoły lotniczej. Podczas studjów okazało się, że zamiłowania panny Jacktry idą w parze z wybitnymi zdolnościami technicznymi — ukończyła ona szkołę z najlepszymi świadectwami. Młoda lotniczka dokonała niedawno niezwykle śmiałego wlotu, przeleciała mianowicie pod arkadami olbrzymiego mostu, łączącego miasta Nowy Jork i Broklin. Ćwiczenie to lotniczo wymagało niesłychanej zręczności i sprawności w kierowaniu samolotem, oraz ogromnej ostrożności i napięcia uwagi. Z. B

## POKŁOSIE SEZONU MUZYCZNEGO

(I. OPERA)

Warszawskie życie muzyczne choruje od wielu lat na chroniczną anemię. Zarówno Opera, jak Filharmonia robią bokami, i ledwie, ledwie, że się trzymają na powierzchni. O przyczynach tego zatrważającego stanu rzeczy była już mowa osobno. Bądź co bądź, jakże w takich warunkach myśleć o wykonaniu jakichś konsekwentnych, na dłuższą metę zakrojonych, zamierzeń artystycznych? i czy można mieć o to, do kogokolwiek, pretensje?!

Ta refleksja nie znaczy oczywiście, aby wolno było ludziom za to odpowiedzialnym opuszczać rece i umywać je od wszystkiego. Ale część minusów, wynikających z oceny działalności naszej opery, należy — słuszność tego wymaga — położyć na karb tych właśnie przyczyn ogólniejszych i głębszych, a winnych, jeśli szukać, to chyba w samych kierowniczych sferach miasta.

\* \* \*

W Operze warszawskiej zaznacza się od pewnego czasu żywsze tempo pracy. Wystawia się wcale pokaźną ilość dzieł nowych, lub całkiem na nowo opracowanych.

Dobrze zapoczątkował sezon Tadeusza Joteyki „Zygmunt August”. Autor nie wniósł tu wprawdzie do naszego dorobku operowego żadnych wartości nowych, ale udatnie wyzyskał interesujący temat historyczny, wyposażył go w rozlewny, choć nieoryginalny liryzm, w ustępy melodyjne bez trudu trafiające do ucha, wreszcie w piękną, historyczną szatę zewnętrzną, i to wszystko razem zadecydowało o powodzeniu „Zygmunta Augusta”, o powodzeniu w naszych stosunkach całkiem wyjątkowym. Z dzieł polskich ostatnich czasów tylko „Pana Twardowskiego” możnaby pod tym względem z operą Joteyki porównać.

Inny los przypadł w udziale drugiej nowości repertuarowej tego sezonu, operze Romana Statkowskiego „Filenis”. Opera ta powstała w r. 1898. W r. 1903 została nagrodzona na międzynarodowym konkursie w Londynie.

Światło kinkietów ujrzała po raz pierwszy w Warszawie mniej więcej 20 lat temu. Powtórnie wyprowadzono ją na scenę, aby uczcić — jak się okazało, trochę poniewczasie — jej twórcę Romana Statkowskiego, złożonego ciężką chorobą. A „Filenis” zasługiwała na los inny, aniżeli dwudziestoletnia niepamięć.

Dzieło to musi być mierzone oczywiście miarą, która obowiązywała współcześnie z jego powstaniem. Było to w epoce, gdy na twórczość operową najsilniejszy wpływ wywierał — z jednej strony Wagner, z drugiej mający wielkie powodzenie weryzm („Cavaleria Rusticana”, „Pajace”, „Tosca”). Oba te kierunki znalazły oddźwięk i w „Filenis”, weryzm szczególnie w librecie (charakterystyczne nagromadzenie wstrząsających efektów dramatycznych). Ale muzyka Statkowskiego jest przytem spokojna, kulturalna, gładka, pisana ręką znawcy form i wytrawnego instrumentatora. Jest to muzyka —

raczej czysta, w sensie przeciwstawienia muzyce interpretującej, programowej, aniżeli muzyka wyrazu.

Trzy tygodnie później Roman Statkowski, nieodżałowany kompozytor i pedagog, wychowawca całego pokolenia młodych i obiecujących talentów — zmarł, wobec czego — „Filenis” po paru przedstawieniach, zeszła z programu na czas nieograniczony, t. zn. póki znowu jakaś chwila osobliwa nie spowoduje wygrzebania jej z pyłu bibliotecznego.

W bieżącym sezonie Dyrekcja przypomniała sobie nareszcie, że istnieje bogata muzyka operowa czeska i że właśnie dwa lata temu obchodzono w całej Europie stuletni jubileusz urodzin twórcy czeskiej opery narodowej, Fryderyka Smetany. Prawda, lepiej późno, niż nigdy. Temu zawdzięczamy wznowienie „Sprzedanej narzeczonej” Smetany. Jak wiadomo opera ta zajmuje w muzyce czeskiej takie miejsce, jak u nas „Halka”. Ale „Sprzedana narzeczonej” jest zarazem światowym arcydziełem czerstwego, jędrnego humoru, wyrażonego świetnie i w librecie i w muzyce, opartego mocno o motyw ludowy, o ludową czeską rytmikę i o narodowe tło obyczajowe.

W operze naszej arcydzieło Smetany zostało, w miarę środków, wystawione dobrze. Byłoby bardzo pożądane, aby Warszawa wzięła przykład z Poznania<sup>1)</sup>, i sięgnęła do dalszych reprezentacyjnych dzieł operowych czeskich.

Całkowitego odnowienia doznał „Straszny Dwór”. Było to zrealizowanie oddawna głoszonej obietnicy dyr. Młynarskiego, który zresztą uznał, za wskazane dać świeżą szatę arcydziełu Moniuszki nie tylko pod względem zewnętrznym (inscenizacja, dekoracje), ale sięgnął do instrumentacji i to moim zdaniem naogół szczęśliwie, a bez uszczerbku dla intencji twórcy opery.

W ten sposób perła naszej muzyki operowej, dzieło przez żadnego kompozytora pomoniuszkowskiego niedosiężone, znalazło się na nowo wśród atutów repertuarowych.

Wypada wspomnieć jeszcze jedna nowość polską — chybioną: „Zemstę” Zygmunta Noskowskiego (libretto osnute na komedji Fredry). Opera ta wskutek powszechnej oceny ujemnej, jakiej doznała, tak śpiesznie zdjęta została z programu, że jej nie zdążyłem zobaczyć.

Na poczet plusów tegorocznego sezonu można zapisać wystawienie również od kilku lat zapowiadanego, „Borysa Godunowa” Mussorgskiego.

Mussorgski, a szczególnie jego „Borys Godunow”, posiadają w dziejach opery i wogóle muzyki europejskiej współczesnej — swoją kartę zaszczytną. Mussorgski wywarł silny wpływ na całą poromantyczną twórczość francuską, jest uważany za ojca impressionizmu francuskiego z końca XIX i początku XX w. „Borys Godunow” obiegł wszystkie sceny europejskie,

<sup>1)</sup> Poznań zdobył się na pokazanie „Dalibora” Smetany i „Jenufy” Janacka, kompozytora współczesnego.





zdobył sobie wszędzie ogromną popularność, — aż wkońcu trafił i do warszawskiego Teatru Wielkiego.

Popularność i powodzenie tej opery jest zresztą zupełnie uzasadnione. Jest to dzieło szczerego, głębokiego i oryginalnego natchnienia. Podobnie jak w „Sprzedanej narzeczonej” Smetany, jak w „Halce” Moniuszki, przez kompozytora rosyjskiego przemówiła tu dusza jego narodu w swoistych rytmach, melodiach i harmoniach. Do tych wartości, tkwiących niejako poza twórcą „Borysa”, dodać trzeba to, co stanowi swoistą wartość oryginalną Mussorgskiego: jego talent instrumentacyjny, zdolność wydobywania z orkiestry ciekawych, nowych brzmień; właśnie to głównie utorało i Mussorgskiemu i jego operze drogę na zachód. Wystawie warszawskiej brak niestety odpowiedniego wykonawcy roli tytułowej. Nie jest takim, ani Orda, niezły aktor, ale baryton, podczas gdy to jest partja dla głębokiego basy; nie jest odpowiedni także Michałowski; piękny głos basowy tego artysty nie starczy jednak za talent i wyrobienie aktorskie, niezbędne w tej trudnej kreacji.

Ostatnią premjerą opery naszej było przedstawienie składane: z dwóch baletów Ravela i Strawińskiego i — w środku — z jednoaktowej opery Puccini „Gianni Schicchi”. — „Gianni Schicchi” jest częścią tryptyku scenicznego, który wyszedł z pod pióra znakomitego kompozytora włoskiego jako jedno z jego dzieł ostatnich. Rzecz dziwna. Podobnie jak Verdi we Falstafie, który był niewątpliwie pierwowzorem opery Puccini’ego, dziedzic tradycji i stanowiska Verdi’ego w muzyce włoskiej Puccini pod koniec życia zwraca się do rodzaju, któremu nie hołdował w ciągu całej swojej twórczości, do opery buffa. I stwarza mały klejnocik rodzajowy. Wszystkie dzieła Puccini’ego świadczą o jego niezwykłym nerwie scenicznym, o świetnym wyczucaniu sytuacji scenicznych właśnie pod względem ich zawartości ekspresyjnej i podatności muzycznej. „Gianni Schicchi” jest tego specyficznego talentu jednym z najlepszych przykładów i wyrazów. Muzyka zrosła się ze słowem w jedno; dialog na scenie jest jednocześnie dialogiem w orkiestrze; tu w orkiestrze staje się misterną tkaniną drobnych koronkowych motywów, które z walną pomocą świetnie wyzyskanych rytmów nietyle ilustrują akcję muzyczną, ile — jej dopełniają. Humor, wesołość, satyra mają swój odpowiednik równowartościowy w orkiestrze. Nie brak i typowego pucciniowskiego melosu, pewnych charakterystycznych frazesów melodyjnych, i całych rozlewnych ustępów lirycznych. Ale te stanowią nieoryginalną, słabszą stronę tej opery.

Zamiast dwóch innych części tryptyku, który wystawiany bywa zazwyczaj jako urozmaicona całość, opera warszawska dała jednoaktówce Puccini’ego oprawę z baletów: „Daphnis i Chloe” Ravela, i „Petruzka” („Piotruś”) Strawińskiego: zestawienie z „Gianni Schicchim” wcale trafne i choć zrywa ono ze wspomnianą praktyką, osiągające efekt ten sam, mianowicie różnorodność wrażenia estetycznego i nastrojów. — Oba dzieła choreograficzne są w swoim rodzaju kapitalne, choć jedno stanowi przeciwieństwo drugiego — „Daphnis i Chloe” — to kwintessencja

subtelnej sztuki najznakomitszego współczesnego kompozytora francuskiego, zgęszczony, klasyczny wyraz indywidualności muzycznej Ravela; jego paleta barw, paleta mistrza o niedoścignionej subtelności pędzla, zdobyła się tu na swoje słowo ostateczne. — Całkiem co innego „Petruzka” Strawińskiego. — „Petruzka” — to żywcem na scenę przeniesiony jarmark rosyjski, z całą swoją niesłychaną barwnością, w nieskażonym stylu, z całym pulsującym w nim, nieokiełznanym i nieokrzesanym życiem.

Z tych baletów udał się operze naszej do pewnego stopnia tylko „Petruzka”, któremu byłoby się przydało tylko jeszcze więcej temperamentu. Zupełnie nie udał się balet Ravela. Nie było wcale porozumienia pomiędzy muzyką rawelowską, a jej wykonawcami, nie wyłączając orkiestry i jej kierownika. Ravel wyszedł na naszej scenie — poprostu martwy.

Reasumuję swoje wywody:

Opera pracowała w tym sezonie intensywnie, z rezultatem bądź co bądź lepszym, niż w latach ubiegłych. Repertuar przestał młócić wciąż, w kółko, ten sam materiał włoski, lub rosyjski, a skierował się w nieco innym kierunku, wpuszczono do niego trochę świeżego powietrza. Coprawda jakiegoś wyraźnego planu wciąż jeszcze nie znać, co zresztą byłoby do usprawiedliwienia przyczynami ogólnymi.

Gorzej, że na pracy wycisnęła niejednokrotnie piętno dorywczość roboty od premjery do premjery. Rzeczy, w które włożono wiele wysiłku, znikają po kilku razach z programu, bez słusznego, artystycznego usprawiedliwienia, idą jak dawniej do lamusa, („Siegfried”, „Śpiewacy norymberscy”, „Sprzedana narzeczonej”, „Filenis”). Inscenizacja, która jak się mogło przez czas pewien zdawać, za p. Popławskiego weszła w nowy twórczy okres, gdzieś te pierwiastki oryginalności i twórczej pomysłowości po drodze obecnego sezonu pogubiła i — nieznanie zdaje się spadać zpowrotem na poziom dawnej kawalszczyzny, źle notowanej w dziejach opery warszawskiej.

Zato wybitną i trwałą poprawę znać w chórach. A z zastępu artystów powoli wysuwają się naprzód nowe, młode i cenne indywidualności (Werwińska, Skonieczna, Orłowska, Mossakowski, Kiepusza, Wraga).  
(c. d. n.) J. R.

## WYSTAWA MAZURSKA W MŁAWIE

Mazowsze, jego przeszłość, jego lud i sztuka zaczyna budzić coraz większe zainteresowanie. Coraz większe zainteresowanie zaczyna budzić sprawa mazurska. W związku z tem zrodziła się myśl zorganizowania wystawy, która miałaby na celu wykazanie osobliwości Mazowsza, a to nietylko dawnego księstwa mazowieckiego, ale i Mazurów pruskich, od wieków na północy za kordonem osiadłych.

Wystawa Mazurska zainicjonowana została przez dyrekcję i grono nauczycielskie mławskiego seminarjum nauczycielskiego przy poparciu mławskiej rady miejskiej. Wystawa trwać będzie



od 20 do 27 czerwca. Obejmie ona następujące działy: archeologiczny, na który złożą się wykopaliska z epoki kamiennej i grodziskowej, etnograficzny, biologiczny, przemysłowy, (ceramika mławska i kilimy Mazurskiego przemysłu Ludowego w Działdowie).

Ze względu na doniosłe znaczenie i na niezwykle materiały etnograficzne wystawa ta winna wzbudzić zainteresowanie. Zbiory, które po raz pierwszy zostaną wystawione na widok publiczny, znajdą niebawem stałe miejsce w nowopowstających muzeach w Działdowie i Mławie.



#### TEATR NARODOWY:

„Wróg ludu” dramat w 5 aktach *H. Ibsena*.

„Człowiek jest najsilniejszy, kiedy stoi sam”, mówi bohater Ibsenowskiego dramatu. Jest w tych słowach tyleż gorzkości, co zuchwałości, cudownej wiary w potęgę swojej prawdy.

Dr. Stockman przez długie lata nie był sam. Młodzieńczy zapał, entuzjazm zjednywał mu ludzi. Lubili go młodzi, dla których był uosobieniem postępu, żerowali na nim demagodzy, uważając jego poglądy za doskonałe hasła, szanowali go pacjenci, cenili mieszczanie za przyczynienie się do rozwoju miasteczka. Tylko brat, burmistrz, zachowywał się z rezerwą. Ale i jego łatwo mógłby pozyskać doktor Stockman: wystarczyłoby schlebić próżności pana burmistrza. Dr. Stockman jest szczęśliwy i zadowolony. W małym jego domku panuje zgoda, dobrobyt. W żonie znalazł wierną towarzyszkę, córka wyrasta na dzielną pracownicę. Ale jest w tym cichym „home” duch niespokojny, to sumienie doktora. Dr. Stockman dumny jest ze swego dzieła - lecznicy, dręczy go tylko kwestja zdrowotności miasteczka. Po starannych badaniach dochodzi do przekonania, że zło leży w wodociągach. Dzięki lekkomyślności i niechlujstwu władz miejskich stały się one rozsądnikiem chorób. Doktor jest człowiekiem ostrożnym i ogłasza swoje spostrzeżenia dopiero po zasięgnięciu opinii poważnych chemików. Dumny jest ze swego odkrycia: dzięki niemu, jego pracy i sumiennoci zdrowotny stan miasta się poprawi, zło zostanie usunięte. Najbliższe otoczenie: żona, córka, kilku przyjaciół przyjmują wiadomość tę z radością. Nie zawsze z tych samych pobudek. Redaktor Hausstadt widzi w niej doskonałą broń do zwalczania zachowawców, pierwszorzędną materiał sensacyjny.

Doktor donosi o wyniku badań bratu, burmistrzowi. I tu powstaje pierwszy konflikt; burmistrz zdaje sobie sprawę z doniosłości odkrycia brata: jest ono klęską dla lecznicy, a więc i dla miasta, dla ludu, który z lecznicy żyje. Opublikowanie wyniku badań dr. Stockmana pociągnie za sobą albo zamknięcie lecznicy, albo przebudowę wodociągów, co się tłumaczy: nowe opodatkowanie obywateli. Burmistrz, jako ojciec miasta, musi

dbać przede wszystkim o kieszeń swoich dzieci. Zdrowie fizyczne i moralne? Ozdrowienie zakażonych i wodociągów i zabagnionych stosunków, to frazesy, można ostatecznie ich słuchać, ale niepodobna brać ich poważnie. Za burmistrzem stoi zwarty walek właścicieli domów i akcjonariuszów...

Ale i dr. Stockman nie jest sam, ma za sobą prasę niezależną, z redaktorem Hausstadtem i jego pomocnikiem Billingsiem na czele... Walka wypowiedziana.

#### AKT III-ci.

Redakcja „Gońca ludowego”. Hausstadt przygotowuje do druku artykuł dr. Stockmana, stopniowo jednak zapał Hausstadta dla sprawy słabnie. Panna Petra Stockman nie może być wdzięczna, a pan Burmistrz mówi bardzo przekonywająco... „Goniec ludowy” przestanie popierać dr. Stockmana. Entuzjasta nie daje za wygraną; oprócz kamieniczników i sprzedajnej prasy jest jeszcze lud; on zrozumie czystość intencji!

#### AKT IV.

Odczyt dr. Stockmana. W lokalu prywatnym, gdyż odmówiono mu publicznych. Zapowiedziany odczyt zamienia się w burzliwy wiec. (Nie można pozwolić mówić Stockmanowi, zanim nie nastroi się odpowiednio słuchaczy), zapada uchwała: Stockmanowi nie wolno wygłosić prelekcji. Ale wolno mu zabrać głos, więc mówi, wszystko co ma na sercu. Padają gorzkie słowa pod adresem matadorów i ciemnego motłochu. Sala trzęsie się z oburzenia: ośmielił się lżyć naród! Do ruiny doprowadza miasto! Wróg ludu!

W cichym domku doktora Stockmana wybito szyby. Kamienie na podłodze świadczą o gorącym temperamencie obrażonego ludu. Dr. Stockman opuści na zawsze ojczyznę. Gdy jednak spada na niego nowy cios, podejrzenie o chęć zysku, zmienia decyzję, zostanie. Tu, między wrogami będzie żył i działał. Stoi sam. I będzie tym, z którym liczyć się muszą inni. Kurtyna.

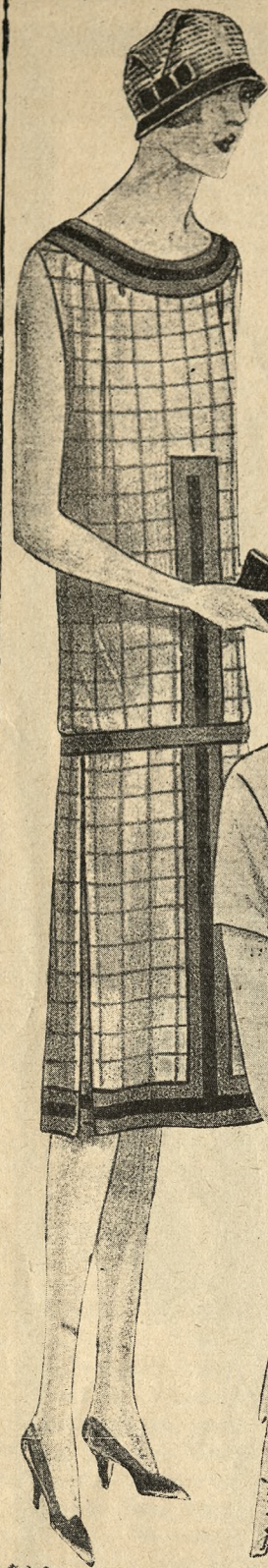
Dramat Ibsena, napisany przed 40 laty, razi miejscami pewną naiwnością i budzi zastrzeżenia natury artystycznej. Pomimo tego słuchamy go z zapartym oddechem. Jest w nim siła moralna, akcent głębokiego przekonania w tem smaganiu zła, tkwiącego w naszym życiu codziennem. U górów klika ludzi robiących interesy, u dołu nieoświecony, ciemny tłum, na którym żerują niesumienni prowodyrzy. Na podobój tych ludzi idzie bohater Ibsenowski uzbrojony jedynie w czystość intencji, przekonanie o swojej prawdzie wewnętrznej. Pozornie przegrywa, ale tylko pozornie. Wyjdzie silniejszy poznaniem własnej siły i siły przeciwnika. I kiedyś wygra, a jeżeli nie on, to jeden z jego synów, wychowanych już do walki.

Rolę doktora Stockmana powierzono Józefowi Chmielińskiemu. Nie perwał nas entuzjazmem, nie oczarował młodzieńczym zapałem, ale była w nim siła przekonania człowieka walczącego w imieniu prawdy. Burmistrz pana Słomy wypadł błado. Natomiast pan T. Frenkiel w roli redaktora Hausstadta zdał egzamin na prawdziwego aktora. Reszta wykonawców więcej, niż poprawna, reżyserja pana Solskiego staranna, za mało może było ruchu i życia w scenie wiecu. Z. P.

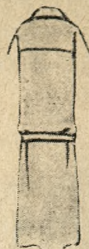


MODY I ROBOTY





538



539



540



541



542





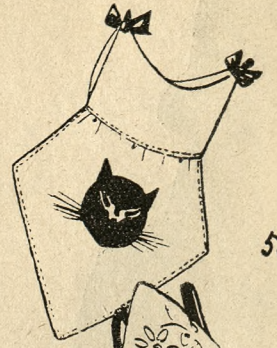
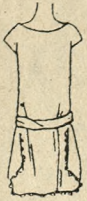
543.

544.

545.

546.

547.



550.



551.



552.



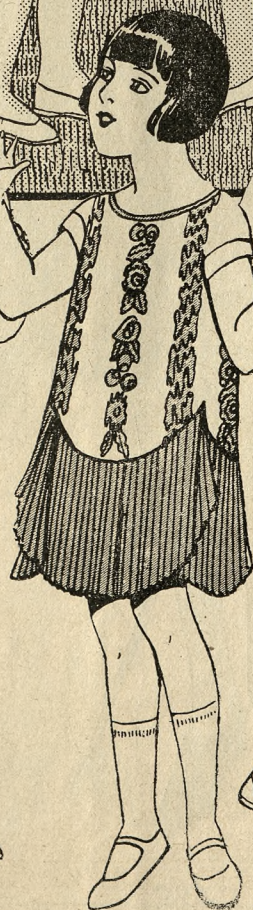
548



549.



553.



554.



555.






556.

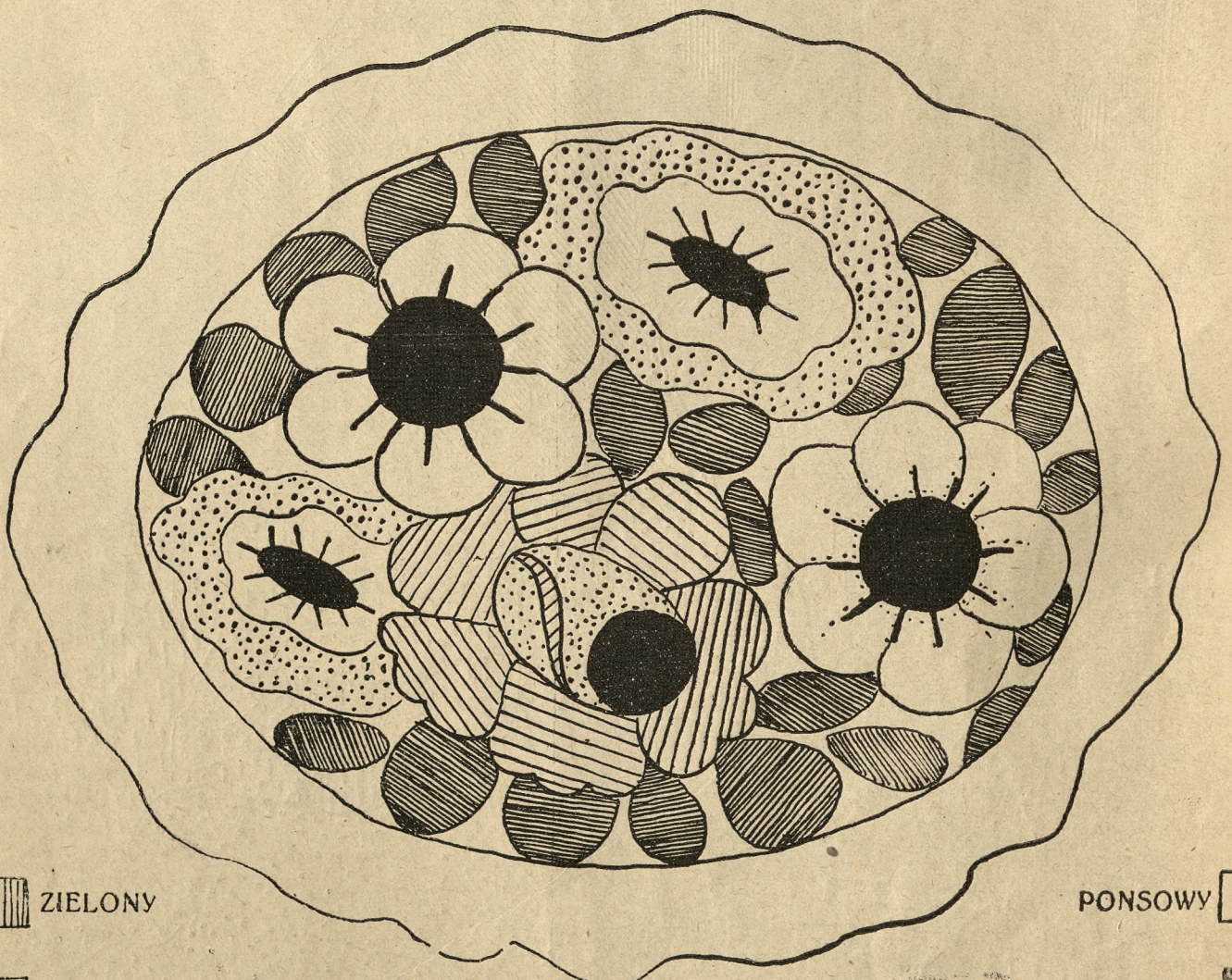
557.





□ BIAŁY. ■ BRONZOWY ▨ TRZY CIENIE BRONZOWE ▩ POPIELATY ▧ TRZY CIENIE ZIELONE ▦ RÓŻOWY CIEMNY.  
 ▨ RÓŻOWY JASNY. - TŁO SZARE - ▩ KREMOWY.





 ZIELONY   
  BRONZOWY   
  MALINOWY




 ZIELONY

 PONSOWY

 ŻÓŁTY

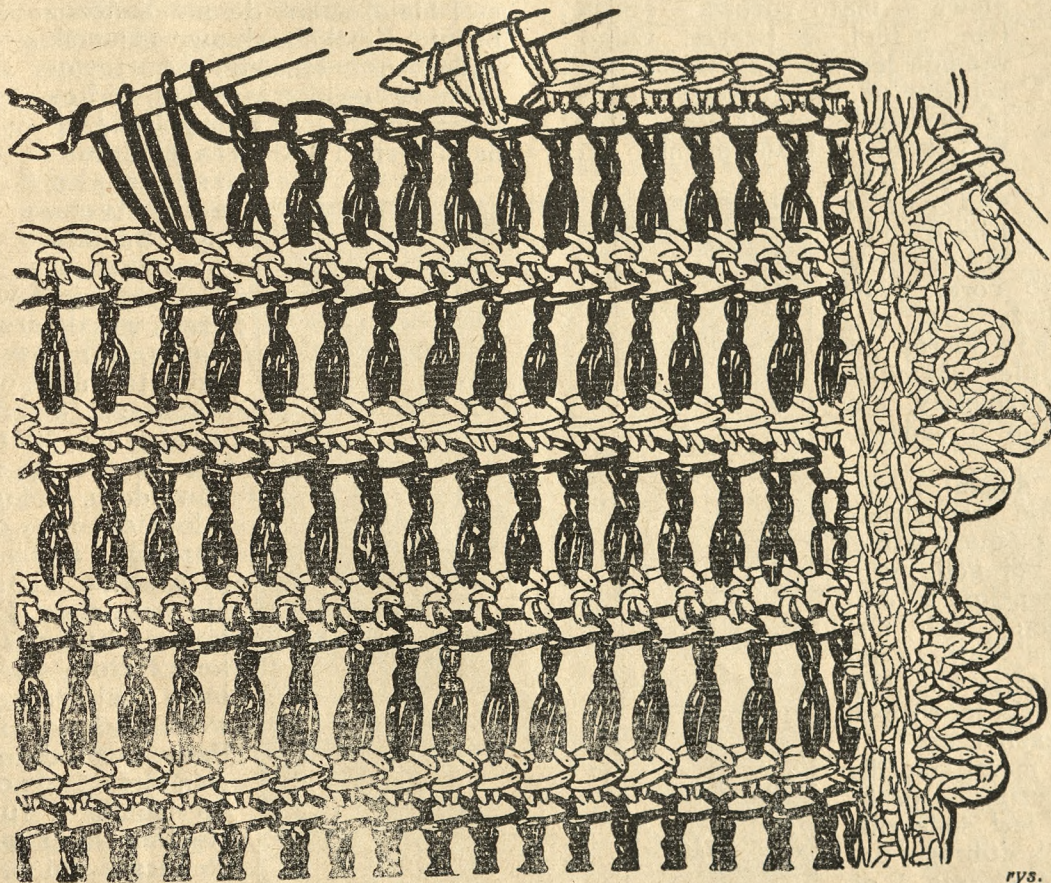
 POMARAŃCZOWY

 BRONZOWY

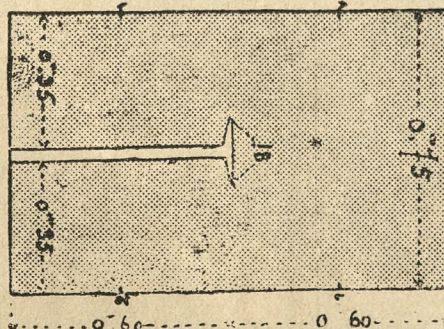


## MATINKA

Matinka, którą podajemy, elegancka, miła i praktyczna, zrobiona jest z wełny i jedwabiu w jednakowych kolorach i cieniach. Jedwab może być o jeden cień ciemniejszy od wełny, można też zestawiać dwa zupełnie odrębne kolory, byle były ładnie dobrane, a całość zachowała ton jasny, z którym harmonizowałyby się dobrze białe obrzeżenie matinki. Każda z Pań dobraćze sobie kolory najbardziej przypadające jej do gustu, no i modnie naturalnie, a jest ich wybór duży, lila, pervenche, zielone i wszelkie od cienie bois de rose ślicznie w wełnie wyglądają. Podajemy fason matinki w zmniejszeniu rys. Nr. 3, łatwo z niego poznać, jak prosta jest robota matinki, a ścieg szydełkowy rys. 2, którym jest wykonana każda, nawet najmniejsza w te roboty wprawna osoba, odrobi z łatwością. Na matinkę potrzeba na średniej miary osobę włóczki zephyr dwunitkowej 150 gr., takiej samej białej do obrabiania 50 gr., jedwabiu pół krętego 200 gr. i szydełko celuloidowe Nr. 5. Matinkę zaczyna się od dołu pleców na podstawie 110 ocz. łańcuszkowych. 1-szy rząd z kolorowej włóczki 110 podwójnych słupków wklutych w każde oczko łańcuszka, 2-gi rząd powrotny jedwabiem, zrobić 110 ocz.



rys. 2.



rys. 3.

ściślych, zahaczając o tylną nitkę poprzednio zrobionych podslupków, 3-ci rząd — robi się znów włóczką podwójnymi słupkami, zahaczając zawsze o tylną nitkę — 4-ty rząd jak, drugi, jedwabiem ściśłymi oczkami i tak dalej robiąc kolejno rząd słupków podwójnych i rząd ściślych oczek, aż będzie 25 rz. Przy 25-ym rzędzie wykonanym jedwabiem zrobić tylko 45 śc. ocz. zostawić 20 na szyję i znów 45 ścis. ocz. wrócić robiąc 45 podwójnych słupków, od nich łańcuszek z dwudziestu ocz. na tej podstawie 65 śc. ocz. robić jak na plecach na przemian podwójne słupki i ściśłe ocz. 25 razy. Drugą stronę zrobić tak samo. Otoczyć matinkę 21 rzędami ocz. śc. z białej wł. U dołu nadetatowo dodać również z białej wł. 2 rzędy ściślych ocz., 2 rzędy podwójnych słupków i znów dwa rzędy ściślych ocz. tak przy plecach jak i przy przodach. Zeszyć boki okrywki. Rękawy, szyję i odwijające się rewery obrobić pikotami (rys. 2) robiąc na nie 4—6 i 4 ocz. powietrzne. Zrobić z podwójnej nitki łańcuszki, które zakończone chwaścikami krzyżują się u dołu rękawa i przodu przyczepione po dwóch stronach matinki przytrzymują jej obie połowy związaniem na kokardę.

## BIAŁA SUKNIA



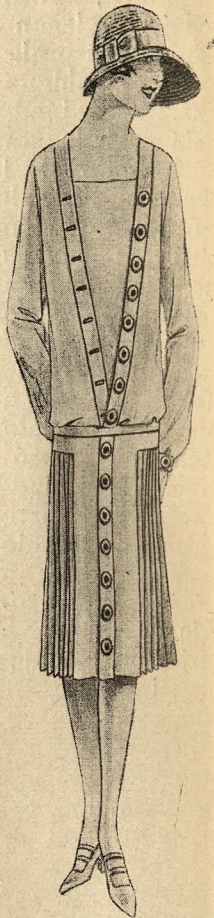
A kiedy w duszny wieczór czerwcowy zasiadła Pani przy oknie i z głową ukrytą w dłoniach, zwalczając tysiąc pokus, ciągnących z okien sklepowych wystaw, obmyśla Pani w skupieniu, jakby się ubrać na lato, żeby to wypadło ładnie i nie nadwyrężyło szczupłego budżetu, żeby się suknią dobrze prała, żeby nie blakła w słońcu, żeby się nie opatrywała, żeby było Pani w niej do twarzy, żeby harmonizowała z każdym kapeluszem... dam Pani jedną zblawienią radę — niech Pani sobie sprawi białą suknię. Czy z kosztownej georgette'y, lub crêpe marocain'u, czy też bawełnianych tych materiałów imitacyj, będzie zawsze wyglądać świeżo, a co zatem idzie elegancko. Niezależnie od tego, czy pani jest śniada i kruczowłosa, czy też płowa i biało różowa — będzie Pani w niej do twarzy. Odpowiednia jest dla wszystkich, niezależnie od wieku. Nawet kobieta pięćdziesięciokilkolletnia może się ubrać w białą suknię, nie będąc po-

sadzona o chęć odmłodzenia się. Coprawda to coraz mniej osób z tem się liczy. Do niedawna dobierały nieraz już dwudziestoparoletnie mamusie krój i kolor poważniejszy, aby ich nie pomawiano o „udawanie podlotków“.

Przed paru dniami podziwiałam u modniarki przedziwnie młodą mamę piętnastoletniej panienki, która odrzuciła proponowany sobie kapelusz z oburzoną okrzykiem: „Ach nie, proszę pani, to dla mnie za poważne, to zupełnie jak dla mężatki“. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień zaznaczam, że kapelusz był dla mamy, nie dla milczacej, jak trusia, córeczki. Wszelka przesada jest śmieszna, ale niema żadnego dobrego powodu, aby osoby starsze i co nieraz za tem idzie, korpulentne, męczyły się i pociły w ciemnych sukniach w imię przestarzałych przesądów. Biała suknia jest lekka i chłodna, skrajana w prostych angielskich linjach, nieco dłuższa, niż sukienki młodych pań, będzie nosiła charakter poważny. Biały kolor jest sans âge. Nawet żałoba uwzględnia w najgorętsze letnie miesiące białe gładkie suknie z krawa-

tem i szarfą z czarnej mory, lub czarnym zamszowym paskiem. Ślicznie wygląda deux lub trois pièces z surowego jedwabiu, lekkiej wełny, lub nawet zwykłego białego frotté, który w tym sezonie nie cieszy się zbyt wielkimi łaskami pani Mody, a przecież daje się użyć na bardzo ładne ensemble. Frotté ma tę zaletę nieocenioną, że się mało gniece i nie jest przezroczysty, jak większość letnich tkanin. Ślicznie wygląda na białym frotté jaskrawy haft bułgarski, żeby się dał dobrze prac, należy go wykonać bawełną D M. C. Przy bawełnianej georgette'ie ślicznie dadzą się zastosować szerokie, grube gipiury, lub delikatne szwajcarskie hafty. Pstra kamizelka, pstre guziczki, wszystko to pozwala urozmaićać wygląd jednej i tej samej białej sukni do nieskończoności. Krótki, jaskrawy żakiecik nada jej charakter sportowo- plażowy, owinięta wielką, haftowaną chustą z długą frendzlą, nada postaci Pani charakter ma-

rzycki i romantyczny. Smukła postać w bieli, owinięta w jedwab pstrego szala, na tle drzew kurortowego parku, lub na tarasie kasyna, czyż to nie powinno rozżarzyć wyobraźni pięknego i bogatego młodzieńca, który się niewątpliwie o Panią w tym sezonie oświadczy. Co prawda, to nasza młodzież ma dość ubogą wyobraźnię, a i nasze kurorty są przeważnie ubogie w młodzież, ale nie chcę Pani psuć przed kuracją humoru. Wierzę, że opalona i złota wygląda w śnieżnej bieli swej szaty, jak przysłowio- wa „mucha w mleku“ i dokona Pani licznych podboi a wróci jaśniejszą pięknnością i zdrowiem do miasta. I tu jeszcze przyda się Pani biała suknia. Nawet w słoneczne dni wrześniowe będzie na miejscu na ulicy, nawet w biurze, o ile oczywiście krój i dekolt nie będą zbyt prowokujące. Zależnie od miesiąca i godziny będzie Pani do niej nosić maleńki kapelusik z włoskiej słomki, dziwacznie pomięty filc, wielką ażurową pasterkę, a nawet do połowy lipca cieniastą budkę z ciemnego aksamitu dobranego do koloru paska i pantofelków. Jest to dziwactwo mody, w którym będzie Pani z



pewnością do twarzy. I tak zaopatrzona w jedną tylko białą suknię, może pomysłowa Pani być przez całe lato modna, wrażliwą na zmiany klimatu i otoczenia, może robić wrażenie coraz inaczej ubranej.

Jednakże ze względu na to, że biała suknia wymaga częstego prania, jak i ze względu na jej względną niekosztowność, radziłabym Pani sprawić sobie takich sukien—kilka. *Well.*

## I M I Ę

Imię jest jak kwiat wonne, jak słońce żarliwe,  
Ciężkie siłą przekleństwa, dziecięco szczęśliwe!  
Skarbnicą jest uroku, powodem do śmiechu,  
Amforą cnót i dobra, lub zarodkiem grzechu...

Imię to siła sugestywna. Niezbadana i nieujęta, a jednak władcza. Jakie jest ustosunkowanie wpływu, czy imię swoją bogatą, a indywidualną treścią wyciskało niezaprzeczenie piętno na duszy człowieka, czy też silna indywidualność tych, którzy je nosili, nadała mu cechy swoiste, dość że są imiona z którymi wiążą się nierozdzielnie elementy dobra, lub zła. tępoty i gnuśności, lotnej umysłowości, wdzięku, powodzenia, czy też nieszczęsnego, przekłętą życiowego pecha. Wybierając imię, które ma się stać poniekąd etykietą czyjejs osobowości, należy iść myślą w przyszłość, starając się nie obarczać przedewszystkiem jednostki, skazanej na naszą łaskę i niełaskę, śmiesznością. W samym dźwięku niektórych imion lęgnie się zarodek śmiechu, a wszak rzeczą dowiedzianą jest, że niema nic bardziej zabójczego nad śmieszność, nic co przywarłoby silniej i dotkliwiej do istoty ludzkiej.

Zanim z pąka dziecięcego istnienia, które w pierwszym okresie tak bezbronnie podporządkowuje się naszej przemocy, strzeli kwiat świadomy swej siły i praw do życia, w rękach naszych leży złamanie, lub wydoskonalenie linii wewnętrznej i zewnętrznej. Tak jak warunki i wpływy zdolne są nadać niczem niezatarty kierunek duchowości danej jednostki, tak i estetyczna linia zewnętrzna raz skrzywiona, załamana, czy zaniedbana, jest z małymi wyjątkami, nie do naprawienia.

Imię dźwięczne, pełne dodatnich cech, mile brzmiące i wiążące się w nierozdzielną całość z daną istotą i z jej nazwiskiem, to rzecz na pozór mało ważna, a jednak silnie oddziałująca na wyobraźnię, otaczająca daną jednostkę nieuchwytną atmosferą udzielającego się uroku, tego czegoś, co zaciekawia i uspasabia dobrze, a życzliwie, co toruje drogę. Dlatego też nie wolno lekkomyślnie narzucać dziecku, a szczególnie dziewczynce imienia brzydkiego, śmiesznego, gdyby nawet przemawiał za nim najzarliwszy różaniec wspomnień i tradycji rodzinnych, czy rodowych. Zgubne w skutkach są też imiona afektowane, które wytwarzają dokoła istot obarczonych niemi specjalną atmosferę i wpływ zrodzony z narzuconych im mimowoli cech, co tak nierozdzielnie łączą się z brzmieniem danego imienia.

Z poruszaną kwestją imion łączy się pełna uroku, a w niektórych środowiskach ludzkich z takim pietyzmem przechowywana tradycja imienin.

Dzień imienin osoby drogiej, to kanwa, na której pamięć i serce haftują wzorzyste desenie, to śliczny świąteczny nastrój, szept przechowywanych zardzośnie tajemnic i przygotowań, chwile brzemienne niecierpliwym oczekiwaniem, woń kwiatów, gwar ludzkich rozmów, śmiech, uściski dzwonki, turkot licznie podjeżdżających pojazdów, dowody pamięci i życzliwości ludzkiej, bezcenna atmosfera radosnego napięcia i zapomnienia, zapomnienia na ten jeden

jasny dzień w roku, o szarym gościu, co przywarł do klamki siedzib naszych i czeka chwili, aby przez nieopatrnie odemknięte drzwi wpełznął niczem szara mgła, o trosce dnia codziennego. I znów dwa pojęcia łączą się tu w nierozdzielną całość. Imieniny i podarunki. Coraz radsze dzisiaj, coraz skromniejsze i bardziej opanowane, w naszym życiu, którego treścią najjaskrawszą jest niedobór materialny, winny przyjąć charakter specjalny i stać się owocem rozumnego zastanowienia.

Znam rodzinę, która ma zbawienny zwyczaj dawania rozsądnych prezentów. Rozsądek polega na tem, że nie rozdrabniają siły ofiarodawczej na poszczególne elementy, a przeciwnie zwołują na pewien czas przed imieninami danej jednostki ogólne zgromadzenie, deklarując udziały z jakimi przystępują do uświetnienia misterjum imieninowego. Wynikiem takich poczynań bywają zwykle podarki treściwej i wartościowe, które są przyczynkiem do twierdzenia: w „jedności siła“, a wypowiadają się jednym cennym przedmiotem zamiast szeregu niepotrzebnych najczęściej bezużytecznych bagatelek, które prócz chwilowego zainteresowania nie dają żadnego poważniejszego dorobku osobie obdarzonej. Zwyczaj chwalebny i godny naśladowania, bo doprawdy dzisiaj, kiedy tak bardzo trudno o grosz, a każda istota krąży w sferze niedoborów bez wyjścia, żal patrzeć na bezmyślne trwonienie pieniędzy wydanych najczęściej nieumiejętnie, o tak prosto, aby zbyć się obowiązku ofiarowania czegoś, komuś, kto zwykł o imieninach naszych pamiętać i pamięć tę oblekać w formę podarunku. Tam, gdzie chodzi o młodocianą wyobraźnię, wyżyć się musimy zarodków praktyczności. Dla dziecka prezent z dziedziny przedmiotów koniecznej potrzeby, to prosto wstrząs moralny, wstrząs spowodowany zawodem i pogwałceniem jego praw, wadliwym ustosunkowaniem się do obowiązku wpłatania uroku w zakres dziecięcego istnienia. Znam małą dziewczynkę, której matka, wdowa, pracuje ciężko na wychowanie i kształcenie dzieci, imieniny małej to dzień, w którym rodzina liczna, solidarna i kochająca stara się, pamiętając o dziecku, przyjść z pomocą matce, wynikiem tego prezenty cenne, ale zbierane na niwie życia, nie bajki. Mała Alinka z oczkami rozszerzonymi usilnie tłumionym żalem, co zawładnął jej młodocianą duszyczką na widok szeregu paczek o praktycznej treści, wita ciocię Marylkę, tę wrózkę dobrą i jasną, co wnosić zwykła prócz słodkiego i ślicznego uśmiechu w życie sierotki urok niespodzianek. Ciocia, jest tą opoką, na której wyobraźnia dziecka w tym radosnym dniu buduje ostatni świetlany zamek, to też tuli się w jej rozwarłe do uścisku ramiona, a ofiarowaną pełną tajemniczości paczuszkę trwożliwe oczy dziecka badają z lękiem nowego rozczarowania, gdy usteczka szepcą ciche pytanie: „Ciociu, czy aby nie materiał na sukienkę?“

Ileż z nas wolałoby stokrotnie ten wzgardzony przez małą Alinkę materiał na sukienkę, niż bezmyślnie wybrany koszycek nic nie mówiących kwiatów, do których przywarł piętno pospolitości i chaosu,

w jakim rodzaju się zwykle imieninowe koszyczki układane znudzoną ręką tych, którym patronka, ciesząca się licznym zastępem adeptek, tak dużo przysparza trudu i dochodu.

Wybierając, czy obmyślając prezent trzeba się przede wszystkim wżyć w świat potrzeb, przyzwyczajęń, skalę gustów osoby, mającej być obdarowaną. Bezmyślność prezentów bywa czasem rozpaczliwie rażąca, wieje od niej taki ogrom lekceważenia, że doprawdy lepiej było poprzestać na szczerym i serdecznym uścisku, niż wypowiadać się w sposób pozbawiony subtelnej myśli. Co umie zawsze nawet najmniejszej bagatelce nadać cechę swoistej, a tak bardzo zobowiązującej pamięci. Osobom, które życie stawia w rzędzie widzów, które schodzą, lub zeszyły ze sceny, największą przyjemność robią zawsze kwiaty. Kobieta obdarzona nimi przynosi się mimowoli

w sferę wspomnień, oddycha atmosferą dni minionych bezpowrotnie, dni zapłonionej wiosny życia i gorącego, pełnego, wonnego lata. Na cichą słoneczność jesieni pada z wonią kwietną, jakby odblask uroku rzeczy minionych, smętnego uroku bezpowrotnej przeszłości.

Znam osobę, której intuicyjność w sferze doboru podarunków jest niezwykła, jest to bezwzględnie swego rodzaju talent, który ze sobą na świat przyniosła, spotęgowany prawdziwą, szczerą chęcią wywołania radosnego uśmiechu na oblicze obdarowanych. Dorównać takiemu talentowi trudno, można jednak bezsprzecznie przy dobrej woli osiągnąć w tym kierunku pewną skalę doskonałości. Najpewniejszą drogą, ku której będzie wyzbycie się w pierwszym rzędzie przeświadczenia, że prezent musi być kosztowny na to, żeby był oceniony.

N...ska

## WYSTAWA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Grand Palais odbyła się trzecia wystawa gospodarstwa domowego. Wielki hangar podzielony był na kilkadziesiąt standów. Zdawało mi się, że jestem w jakimś olbrzymim gospodarstwie i trafiłam na chwilę, kiedy wszystko w ruchu kipi życiem, sprząta się, gotuje, pierze, czyści.

Ale sprząta, gotuje, pierze i czyści inaczej, niż dotąd było.

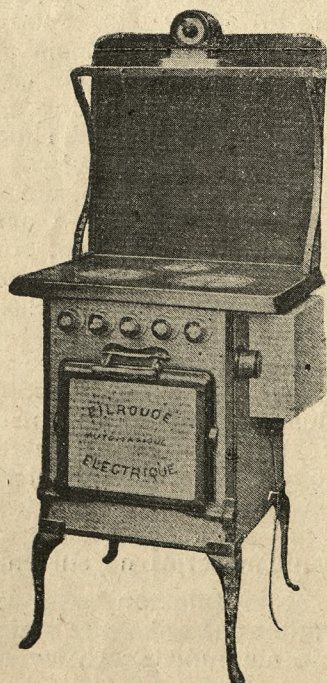
Zarówno ze



Urządzenie nowoczesnej kuchni

zgrabny czepeczek, co zresztą chętnie im wybaczam, bo mnie osobiście nic nie razi długi warokocz wałęsający się na jedwabnym chałacie, fantastyczny zawój na głowie i postukujące na bruku drewniane pantofelki.

Wobec trudności w dostaniu i utrzymaniu służby kobieta, nawet pracująca poza domem, musi sama sprzątać, prać i gotować. Tylko, że ma pod tym względem życie ułatwio-



Kuchnia elektryczna

względu na kryzys materialny, jak i na zmianę stosunków we Francji, bardzo jest dziś trudno o służbę miejscową i jest ona bardzo droga. Po części zastępują fertyczne francuzeczki - chinki, japonki, murzynki, czarne i żółte pokojówki, kucharki i niańki otwierają drzwi, chodzą na targ i wiozą dzieci do Luksemburgu.

Damy te poważnie nie chcą zmieniać swych barwnych strojów na czarną sukienkę, biały fartuszek i

ne, jeśli nie jest z natury konserwatystką i zechce spróbować nowych w tej dziedzinie wynalazków.

Taka, jak wspomniana wystawa, jest z pewnością wielkim krokiem na przód. Jeszcze przed wojną W. Gąsiorowski w książce swojej „Paryż” zaznaczył, że Niemka cały dzień czyści ciężkie miedziane rondle, a Francuska ma taką magiczną ściereczkę i taką cudowną pastę, że raz tylko potrze małe, zgrabne aluminowe naczynko,



Kuchnia elektryczna

a już ono błyszczący. Teraz, po wojnie, praca jej jeszcze bardziej została uproszczona.

Jeśli chodzi o sprzątanie, zaszły zasadnicze zmiany. Cały szereg wynalazków zastosowano do użytku praktycznego i w ten sposób ułatwiono kobiecie jej zadanie. Wielka ich ilość jest poruszana przez elektryczność. Wogóle, rzeczby można, że żyjemy pod znakiem elektryczności. Po epoce nafty i gazu przysłała kolej na elektryczność, która jest i tańsza (przynajmniej we Francji) i bardziej higieniczna. Gaz zostawia zawsze pewną woń, zatruwa powietrze i trzeba z nim ostrożnie się obchodzić, aby nie zrobić pożaru, pamiętać o zamknięciu. Elektryczność jest dobroczynna, bez żadnych złych skutków. To też mamy dziś kuchnie elektryczne, elektryczne ogrzewanie i elektryczne sprzątanie.



Magiczna ścierka

Mówmy najpierw wogóle o sprzątaniu, bo pod tym względem praca kobieca zupełnie inaczej teraz wygląda. Widziałam wszelkiego rodzaju aparaty do zbierania kurzu, od bardziej skomplikowanych, do takich, którymi dziecko może się posługiwać. A tak one są zrobione, że w każde miejsce zagłębione, z najtajniejszego kąta pył zbiorą, nie przesuwając mebli, nie zdejmując dywanów, szybko, zgrabnie okurzą każdy drobiazg. Łączą w sobie czynności miotły, szczotki, ścierki i prócz tego każda z tych rzeczy jest ulepszoną, a jak miła i skuteczna w użyciu, świadczą same nazwy: „Moja nowa pokojówka”, „Moja służąca”, „Moja czarodziejka” ect.

Taką np. czarodziejką jest ścierka, która świetnie zastępuje zwykłą ścierkę. Ale gdy się nią operuje, trzeba się schylać, aby uchronić się od powalania, wkładać specjalny fartuch, przyczem od wykręcania brudnej wody czerwienięją i pierzchną ręce. Z „magiczną” ścierką rzecz ma się zupełnie inaczej. Jest to na długim kiju rozpostarty kawał miękkiej materji, który za pociśnięciem sprężynki sam się wykręca. I taki aparat kosztuje 22 franki! Oczywiście po zużyciu jednej ścierki, można dać drugą. Bywają też kombinacje takich ścierek ze szczotkami. Stosownie do potrzeby używa się jednej, lub drugiej.

Zobaczmy teraz, co się w kuchni zmieniło.

Jak już wspominałam, zagościła tam elektryczność, oraz szkło. Jest specjalne szkło, które ma właściwość znoszenia, bez żadnego dla siebie niebezpieczeństwa, ostre i szybkie zmiany temperatury. Takie szklane naczynia są czyste, miłe i wygodne. Nie trzeba ich „pucować”, myją się łatwo i zawsze wyglądają, jak nowe, a gdy się coś w nich gotuje, gospodyni nie musi wciąż zaglądać do garnków, co podobno psuje cerę, tylko może śledzić z pewnej odległości, co się w nich dzieje: czy mleko już ma zamiar wykipić, a pieczeń wykazuje tendencję do przypalenia. Naczynia te nie są stosunkowo drogie i mają tę zaletę, że pewne potrawy od razu w nich idą na stół: np. kompot.

Sprawa mycia talerzy (mycie tłustych talerzy, to jedna z najgorszych rzeczy w gospodarstwie) jest już rozstrzygnięta. Cały szereg aparatów spełnia tę nieznośną rolę. Są to kotły, lub kociołki z drucianymi przegródkami, za które stawia się talerze. Wskutek obrótu doskonale myją się, a następnie płuczą i suszą. Na godzinę 300 talerzy można

doprowadzić do porządku. Widziałam bardzo ciekawe modele bufetów kuchennych, zajmujących bardzo niewiele miejsca (mogą być nawet w ścianie), które jednocześnie służą za spiżarnie i doskonale mieszczą wszystko, co jest konieczne dla gospodarstwa. Dzięki nadzwyczajnie pomysłowemu wyzyskaniu przestrzeni znajdują tu przytułek wszystkie utensylja kuchenne, podręczna spiżarnia, porcelana, bielizna stołowa i t. d. Między górną a dolną częścią jest blat i kilka wysuwanych deseczek do krajaniania i siekania. Równie doskonałą rzeczą jest stolik na kółkach, przewożący z kuchni lub kredensu naczynia i potrawy. Ile przez to oszczędza się czasu i sił, mówić nie trzeba. Kółka są tak urządzone, że swobodnie jeżdżą po dywanach, można więc stolik skierować do pokoju chorego, jak i po ścieżkach piaskiem wysypanych, tak, że podaje się na tymże stoliku herbatę w ogrodzie.

Jeszcze jedna inowacja, pranie inaczej się dziś odbywać może. Kto wie, czy za lat kilkanaście nie zniknie wielkie pranie, taki przecież dla wszystkich pań Dulskich ewenement w życiu. Już nad balją nie stoi tu praczka obstawiona szczotkami, kubłami i flaszka z „florkiem”, tylko bieliznę rzuca się do odpowiedniej maszyny i za pomocą elektryczności, lub ręczną korbą, lekko i łatwo odbywa się proces prania. Widziałam modele szklane, mające wewnątrz skrzydełka, które puszczone w ruch, spełniają rolę rąk ludzkich, obracają, wykręcają bieliznę, nie drąc jej, nie niszcząc. Ułatwia się pracę jeszcze przez to, że filtruje się wodę, by uczynić ją miękką, co ma i ten jeszcze dobry skutek, że woda miękka wymaga znacznie mniej mydła.

Zresztą, jeśli chodzi o mydło, to Francja naprawdę ma jakieś cudowne mydła, nie już do mycia się, ale do prania. Dla oszczędzenia czasu wiesz się bieliznę w ten sposób, by już przy suszeniu nabierała właściwego kształtu. Pomagają w tem specjalne szczypczyki drewniane, które w odpowiednim miejscu przytrzymują każdą sztukę.

Prócz tych zmian zasadniczych, jest cały szereg drobnych, ułatwiających kobiecie jej pracę w domu — np. instrument do czyszczenia noży, wszelkiego rodzaju pasty, ścierki itd.

Widziałam szczoteczkę specjalną do zbierania okruszyn ze stołu. Pani domu przy końcu obiadu, prowadząc swobodną rozmowę, jednocześnie wodzi po stole takim ładnym, małym przyrządziem i oszczędza przez to drogi swój czas.

Wygodny jest też aparacik do zapalania gazu. Niech się od dziś zapalki gubią, nikną, same wypalają, nie trzeba ich szukać, myśleć o nich, kupować. Magiczny drucik przyłożony do otwartego gazu w ogień go zamienia.

Clement Vautel w przedmowie do katalogu wystawy gospodarczej mówi, że te wszystkie wynalazki przysporzą niemało zadowolenia kobiecie, a nawet szczęścia.

„A zapewnić szczęście kobiecie, to zapewnić szczęście połowie ludzkości. Od czasu wojny nawet więcej niż połowie. Co mówię? Gdy kobiety są szczęśliwe, to i mężczyźni są szczęśliwi”.

Paryż.

Aurelja Wyleżyńska

## DORODNE OWOCE

W stosunku do ilości drzew owocowych, rosnących w Polsce, mamy bardzo mało owoców wogóle, a jeszcze mniej owoców dorodnych. Dlatego ludność zamieszkała, o nieco wybredniejszych wymaganiach, kupuje jabłka tyrolskie, piękne, czyste, rumiane, kształtne, dobrze wyrośnięte, a pomija nasze krajowe, tak często niestety koszlawe, drobne, pokryte czarnymi plamami, które i smak psują i trwałość owocu zmniejszają. Dlatego, pomimo nawoływania „Ligi niezapominajki“, pomimo biedy w kraju, cieszą się zakupem zagraniczne pomarańcze, a polskie pieniądze wędrują zagranicę.

Drobnienie owoców może pochodzić wskutek różnych powodów: więc nadmierne zagęszczenie sadów. Zupełnie zapominamy przy sadzeniu młodych drzewek, że one kiedyś wyrosną duże, a wtedy zetkną się koronami, zacienią całą przestrzeń ziemi, a pod jej powierzchnią splączą się korzeniami i nawzajem będą się ogładzały. Jeszcze nie wszyscy wiedzą i pamiętają, że dla jabłoni minimalne odległości wynoszą w dobrej ziemi 10 na 10 m., czyli 56 drzew na morg, względnie 100 na ha; dla gruszy co najmniej 8 na 8, a lepiej tyleż, co i dla jabłoni; dla czereśni 8 na 8, albo niewiele mniej, dla wisien 6 na 6, lub 7 na 7 m., a tylko śliwy zadawalają się odstępami pięciometrowymi.

Gdy drzewa stoją za gęsto — nie pomoże obcinanie im końców gałęzi. Korona drzewa stanowi parasol, z którego woda deszczowa spływa poza jego obwód. Ponieważ zaś korzenie czynne, to jest najdrobniejsze korzonki włoskowate, rozchodzą się tam tylko, gdzie mogą czerpać pokarm, czyli tylko w ziemi wilgotnej, więc wszystkie snują się poza obwód korony. Stąd wniosek, że jeżeli gałęzie drzew się zetknęły, to korzenie sąsiednich drzew splotły się ze sobą i szukają napróżno pożywienia w ziemi, wcześniej wyssanej przez drzewo, na którego stanowisko przeniknęły. Cóż zatem przyjdzie nam, czy drzewu, z przycięcia gałęzi? Chyba tylko złudzenie optyczne, które jednak nie zaradzi wyczerpaniu ziemi, głodowaniu drzewa i drobnieniu wskutek tego owoców.

Na przeredzenie sadu zbyt gęstego teraz nie pora. Kto jednak wie, że drzewa jego głód cierpią, powinien dodać im pożywienia.

Wszystkie rośliny mają możność czerpania przez korzenie tylko pokarmów rozpuszczonych w wodzie i to bardzo silnie rozcieńczonych. Stąd wynika, że drzewo potrzebuje dużej ilości wody do życia, a tem większe ilości zużywa, gdy ma wykształcić owoce. A zatem polewanie drzew w okresie owocowania jest bardzo wskazane. Żeby jednak było skuteczne, musi być wykonane przy użyciu wielkiej ilości wody. Nalanie jej na powierzchnię ziemi drzewa nie nasyca: trzeba albo wokół drzewa wykopać rów pod obwód korony, czyli na obwodzie t. zw. tarczy drzewnej, albo wykopać szereg dziur i kilkakrotnie napełnić je wodą, żeby ona mogła przeniknąć do głębszych warstw ziemi.

Z polewaniem można połączyć zasilanie letnie drzew nawozami ciekłymi. Najpospolitszym z nich będzie gnojówka, z dodaniem popiołu drzewnego, rozcieńczona w stosunku 1:4, albo i więcej części wody. Zbyt stężony zasilek mógłby przynieść drzewu szkodę, niszcząc delikatne korzonki włoskowate. Dlatego też najlepiej zasilać drzewa po obfitych deszczach, gdy ziemia sama zawiera sporo wilgoci.

Oprócz nawozu naturalnego można używać rozpuszczonych w wodzie nawozów pomocniczych (sztucznych). Skład zasilek powinien być uzależniony od stanu drzew i od tego, jaki cel chcemy osiągnąć. Każdy z nawozów pomocniczych inne wywiera działanie na roślinę, i dlatego należy wzajemny ich stosunek dopasowywać do potrzeby.

Więc azot, zawarty w saletrze chilijskiej, w azotniaku, lub siarczanie amonowym, pobudza drzewa do wzrostu, jest zatem przede wszystkim potrzebny dla drzew słabo rosnących, wycieńczonych gumowaniem, objęzonych przez robactwo i t. p. Saletra chilijska działa najenergiczniej, ale, jako sól łatwo rozpuszczalna, może być przez deszcz uniesiona w podglebie, więc trzeba ją stosować naraz w niewielkich dawkach.

Kwas fosforowy, w postaci szybko rozpuszczającego się superfosfatu, albo rozkładającej się powoli tomasówki, kości palonych i t. p., dostarcza roślinie materiałów potrzebnych do wykształcenia zawiązków, ziarna i cukru, a również przyczynia się do żywszego barwienia się owoców. Drzewa, zasilane fosforanami, chętniej i obficie zawiązują pączki owocowe.

Potas sprzyja wykształcaniu się tkanki, a więc masy liściowej, pędów i miąższu w owocach. Dajemy go w postaci kainitu, albo skoncentrowanych soli potasowych, przyczem do zasilania letniego tylko te ostatnie się nadają.

Znając działanie poszczególnych nawozów na drzewo, możemy już względnie łatwo wypośredkować, którym składnikom należy dać przewagę, ażeby osiągnąć pożądane wyniki. Ale równocześnie trzeba pamiętać, że spożycie poszczególnych składników nie jest jednakowe. Więc: im większa pestka, tem więcej drzewo pochłania fosforu. Im bardziej mięsisty wykształca się owoc, tem więcej zużywa się potasu.

Jako przeciętny stosunek dla drzewa normalnego możemy przyjąć: 2 części superfosfatu, 2 części saletry chilijskiej i 1 część soli potasowych. Tak przyrządzoną mieszankę rozpuszczamy w wodzie w stosunku około 2 gr. nawozu na litr wody.

Zasilanie drzew nawozami można stosować od wczesnej wiosny do końca lipca. Przeciąganie polewania, albo zasilania, poza ten termin może wywołać nadmierne przedłużenie okresu wegetacyjnego, wskutek czego tkanka należycie nie dojrzeje i latorośle, a niekiedy nawet starsze części drzewa, w zimie poprzymarzają.

Niektóre odmiany gruszy, a zwłaszcza jabłoni, (np. Glogierówka) zawiązują bardzo dużo owocu, który wskutek tego drobniej, a pod jego ciężarem łamią się gałęzie. Jeżeli z takich drzew kilkakrotnie, w pewnych odstępach czasu część owoców strząśniemy, to pozostałe rozwiną się znacznie lepiej i tą drogą osiągniemy również dorodniejsze plony.

Ważna jest też uprawa ziemi pod drzewami. Tylko w ziemiach nadmiernie wilgotnych może być pozostawiona trawa, która pochłania bardzo wiele wód. W ziemiach normalnych stwarza ona tak silne współzawodnictwo dla drzew, że się jej obecność ujemnie odbija na owocach. Bardzo korzystne jest dla drzew utrzymywanie ziemi w czarnym ugorze, czyli stale poruszanej, ażeby nie zarastała chwastami. Ale wtedy wkładamy w ziemię pewną ilość robocizny, nic wzamian z ziemi nie osiągając.

Więc lepiej opłaca się uprawa warzyw na nawozie, albo sianie łubinu, lub seradeli, gromadzących azot z powietrza. Zaletą seradeli jest, że w początku lata, gdy jeszcze niema wielkich upałów, pozostawia ziemię słabo pokrytą, a później, gdy się wykształcają owoce, skupia wielką ilość rosy, która długo się trzyma i wytwarza w ciągu dnia atmosferę wilgotną.

Ale drobnienie, zniekształcanie się owoców i pokrywanie się plamami może pochodzić jeszcze od grzybka. Występuje on w dwóch gatunkach, bardzo zresztą do siebie podobnych: *Fusicladium pirinum* na gruszkach i *Fusicladium dendriticum* na jabłoniach. Popularnie oba są nazwane „czarnym grzybkim”. Na liściach i na owocach tworzą plamy okrągłe, z początku aksamitno czarne, później korkowate otoczone czarną obwódką. Na pędach drzew silnie porażonych osiadają zarodniki w postaci nalotu podobnego do sadzy. Pędy takie często usychają, liście chore opadają już w sierpniu, a owoce tracą kształt, karłowacieją, często pękają, pokrywają się plamami, gniją i stają się niesmaczne.

W nieświadomości właściciele sadów nieraz karczują drzewa nawiedzone przez grzybek, a przecież zwalczyć go można. Pisaliśmy już o tym wrogu naszych sadów w artykule pod tytułem „Oczyszczenie sadów” (*Bluszcz* Nr. Nr. 10 i 11 z r. b.), ale nigdy dość często nie można przypominać: zraszajcie drzewa przeciw grzybkom!

Oto jabłonie i grusze przekwitły, na czereśniach, wiśniach i śliwach, już wyraźne, wiszą zawiązki. Rozpuszczamy w 100 litrach wody zimnej, miękkiej

1 kg Arbosanu (należy go żądać we wszystkich składach nas on i narzędzi ogrodniczych lub rolniczych, oraz w większych składach materiałów aptecznych) i zraszamy drzewa w dzień bezwietrzny, suchy, aparatem, dającym idealny rozpył mgławicowy Arbosan zastępuje zupełnie ciecz bordoską, a nawet pod wieloma względami ją przewyższa, po zatem zaś jego wielką zaletą stanowi, że zawsze jest gotowy do użytku i posiada niezmienny skład chemiczny.

Jeżeli na drzewach pojawią się liszki, to można do Arbosanu dodać na 1 kg. — 100 gr. zieleni paryskiej (arsenianu miedzi—silna trucizna!) oba proszki dokładnie wymieszać na sucho i wsypać powoli do wody, ciągle mieszając. Takie zroszenie zatruje powierzchnię liści i liście te potrują liszki, które je pożerają.

Zraszanie Arbosanem trzeba powtórzyć jeszcze co najmniej drugi raz po upływie około 2 tygodni, a lepiej wykonać jeszcze dwa, lub nawet trzy zraszania, zwłaszcza jeśli chodzi o odmiany późne jesienne i zimowe.

Systematyczne, coroczne zraszanie drzew bardzo zmniejsza pojawianie się grzybka, i podniesie jakość zbieranych owoców. Opłaci się to sownie, bo licząc koszt czterokrotnego zraszania drzew (materjał i robocizna) na 1 zł. od drzewa, pokrywamy ten wydatek paru kilogramami przyrostu owocu, a istotnie przybędzie nam znacznie więcej zarówno pod względem ilości, jak i doniosłości plonu.

*Stan. Schönfeld.*

## U NARODZIN PRZEMYSŁU JEDWABNICZEGO W POLSCE

Wycieczka do Milanówka .. maj, kwiaty, zapach ostrego zielonego igliwia sosen, szmer najdelikatniejszych listków brzożowych... a na tem tle rodzi się coś, co może w kolosalnym stopniu przetworzyć życie Polski, przysporzyć jej olbrzymi zasób nowych sił i bogactw.

Powstaje przemysł jedwabniczy. Początki są bardzo skromne i przeto tem większe budzą zaufanie. Jest izbeczka niewielka, a w niej dwa warsztaty: jeden do rozmotywania kokonów, drugi do skręcania nitki jedwabnej. Pracują przy nich dwie robotnice. Oto wszystko! A jednak patrzy się na to z głębokim wzruszeniem, bo przeświadczenie wewnętrzne mówi nam, że z tego skromnego zaczątku rozwiną się wielkie fabryki, dające zarobek milionom rąk, dziś czekających daremnie na pracę w kraju, albo wyciągających się błagalnie do obcych... że z tego zrodzi się dobrobyt drobnego rolnika, jego kultura, rozwój sił wewnętrznych i duchowych całego narodu ekonomiczna i moralna potęga.

Dziś, wyprodukowane na tych dwóch warsztatach nici jedwabne idą do jednej z warszawskich fabryk trykotaży i tam przerabia się je na czysto jedwabne pończochy. Nie bez interesu będzie dla czytelniczek „Bluszczu” informacja, że pończochy te kosztują tylko 20 zł., a nie ustępują w niczem towarowi paryskiemu, kalkulowanemu u nas w cenie złotych 50-ciu. Są lśniące, miękkie, trwałe nie do zdarcia, i są własne...

To też zamówień na nie mają już dziś nasi twórcy przemysłu jedwabniczego więcej, niż wyprodukować mogą dwa warsztaty. Ujrzymy je wraz

z całym pokazem jedwabnictwa krajowego na wystawie Centralnego Tow. Rolniczego, która ma być otwarta w dniu 1 czerwca b. r.

Ten początek produkcji przemysłowej ma dla jedwabnictwa naszego olbrzymie znaczenie; jest bowiem ostatniem ogniwem wysiłków podejmowanych przez producenta: zapewnia mu zbyt oprzędów.

A teraz oto cała kalkulacja: mając 16 do 20 dorosłych drzew morwowych wyhodować można jedwabniki z 25 gramów jajeczek, z czego, przy starannej i prawidłowej hodowli, otrzymuje się 55 do 60 kilogramów oprzędów. Za oprzędy świeże płaci stacja w Milanówku od 7 do 9 zł., zależnie od wartości produkcji. Za oprzędy wysuszone 25 zł. Koszta produkcji są minimalne! Jajeczka i dziurkowany papier, których to przedmiotów dostarcza stacja, kosztują do 40 zł. Wiszące u sufitu, czy u pułapu wiejskiej izby półki może sobie z łatwością każdy skonstruować sam. Reszta jest już sprawą staranności i pilności producenta.

Jak widać z powyższego, hodowla jedwabników w zakresie drobnego gospodarstwa wiejskiego dać może około 500 zł. dochodu i to w porze wiosennej, przed zniwami, gdy pracy w polu prawie niema, a gotówki zazwyczaj brak. Dlatego też produkcja ta, jako zabierająca czasu zaledwo kilka tygodni w ciągu roku, traktowana być musi jedynie jako dodatkowa, a wykonywana siłami kobiet i dzieci, nadaje się szczególnie dla gospodarstw małorolnych, ferm podmiejskich i t. p.

Prowadzona przez niektóre pisma, a w pierwszym rzędzie „Bluszcz” propaganda idei jedwabnictwa

nie pozostała bez rezultatów. Przybywają coraz nowe plantacje morw, zwiększa się ilość punktów hodowli.

Co do pierwszych, musiano w roku bieżącym, by odpowiedzieć zapotrzebowaniom, sprowadzić z północnej Francji i z Węgier około 5 tysięcy drzewek morwowych. Rozesłano je w 80 punktów. Między innymi dostarczono ich pani Aleksandrze Piłsudskiej do Sulejówka i pani Aleksandrze Zagórskiej, byłej Komendantce Ochotniczej Legji Kobiet, do Lwowa. Szkołka morw p. Witaczka w Milanówku liczy już 8 tysięcy sztuk i za lat parę dostarczy pewną ilość sadzonek. Nadto w 35 punktach w kraju prowadzi się plantację morw z nasienia. Co do punktów hodowlanych, w roku poprzednim liczono ich 45, w roku bieżącym 72.

Wśród hodowców wyróżniła się p. Hanna Czerwińska ze Skokowa (poczta Opole Lubelskie), która pierwszy raz wzięwszy się do hodowli jedwabników wyprodukowała kokony najwyższego gatunku. Pokazywano mi cały kosz jedwabistych złotych oprzędów, twardych, ścisłych, zapowiadających długą, długą nić. Oprzędy te, jako wzorowe znajdują się na Wystawie Centr. Tow. Rol.

Producentka ta w roku ubiegłym prowadziła hodowlę z 7 gramów jajeczek; w tym roku prowadzi z 75 gramów.

Do wybitnych i wytrwałych producentów należy Białokrynicka szkoła rolnicza przy Liceum Krzemienieckim, a także szkoła rolnicza w Sobieszynie.

Wyróżniającym się hodowcą jest instruktor kultury rolniczej w Hańsku (Woj. Lubelskie), który za oprzędy, wyprodukowane przez siebie, otrzymał w r. ub. list pochwalny na Wystawie w Chełmie.

Wreszcie bardzo interesującym hodowcą jest p. Wojciech Moczulski, włościanin ze wsi Króle, p. Ciechanowce w Grodzieńskim, który od lat 20 hoduje jedwabniki, i otrzymuje jak najlepsze rezultaty. Zapytany, czy nie giną u niego gąsienice z powodu ostrości klimatu, odpowiada, że jeżeli je utrzymywać w czystości, nie chorują nigdy i nie giną.

Oto tajemnica pomyślnej produkcji.

Oczywiście w okolicach kraju chłodniejszych, gdzie później zaczyna się wiosna, należy też później rozpocząć hodowlę.

Świetnie rozwija się hodowla w Zaleszczykach.

Co roku więc zwiększa się produkcja oprzędów. Gdy w roku ubiegłym producenci nasi uzyskali ogółem około 750 kilogramów kokonów, w roku bieżącym spodziewane jest żniwo: 1000 do 1300 kilogramów. Odpowiednio do tego zwiększy się na jesieni ilość robotnic w Milanówku do 7-miu. Rozpocznie się także wyrabianie na ręcznych warsztatach tkanin jedwabnych.

Podziwiać trzeba zapał, wytrwałość i niesłychanie intensywną pracę twórców i kierowników Stacji Doświadczalnej w Milanówku, pp. Witaczka i jego siostry.

Tych dwoje młodych ludzi zawzięło się, by wbrew wszelkim trudnościom obdarzyć Polskę przemysłem jedwabniczym. Własnymi siłami, bez czyjejkolwiek pomocy tworzą wszystko: załatwiają bardzo liczną już dziś korespondencję, wyprawiają transporty morw, jajeczek, papierów dziurkowanych, modeli warsztatów i t. d. i t. d., prowadzą szkołkę morw, hodowlę jedwabników i jajeczek, p. Witaczek konstruuje sam, wedle własnych pomysłów, warsztaty do rozmotywania kokonów i skręcania nici, kieruje zaczątkiem fabryki i t. d. i t. d. Patrząc na pracę tych dwojga ludzi, narazie całkiem bezinteresowną,

bo nie przynoszącą żadnych dochodów, pracę dla przyszłości narodu, zestawia się ją mimowoli z jałowym trudem „działaczy” politycznych, agitatorów partyjnych, gadaczy sejmowych... Zaprawdę nie ci są solą ziemi.

Przyszłość Polski budują w ciszy i wysiłku tacy właśnie miłośnicy rzeczy nowych i trudnych, jak są ci pionierzy jedwabnictwa. Dodaję, że w Milanówku nabywać można modele warsztatów jedwabniczych dla szkół, oraz kolekcje jedwabnicze dla muzeów szkolnych po cenach bardzo przystępnych. Gablotkę z okazami, która w sklepach warszawskich kosztuje do 70 zł., tutaj nabyć można za 40. Tu również otrzymać można wszelkie informacje i broszury, dotyczące hodowli jedwabnika.

Co do samej hodowli, rozpocznie się ona na większą skalę dopiero w czerwcu. Obecnie pobudzone do życia zaledwo drobną ilość jajeczek, celem wyhodowania okazów na wspomnianą wyżej Wystawę. Ktoby więc chciał zapoznać się osobiście z całym procesem hodowli, znajdzie jeszcze w tym roku do tego sposobność.

Zainteresowanie Stacją wzrasta. Już nawet i sfery rządowe poświęcają jej pewną dozę uwagi. Z Ministerjum Przemysłu i Handlu wyższy urzędnik p. Stanisławski odwiedził Milanówek, informując się szczegółowo o warunki i szanse rozwojowe jedwabnictwa u nas. Już poczyna się ruch, tylko pracy, jak najwięcej pracy! bez oglądania się na pomoc Rządu, na subsydja! Tworzyć jak najwięcej punktów hodowli! Po pewnym czasie przyjdzie i pomoc rządowa.

H. C.



### POZIOMKI „POMPADOUR”.

Garstkę słodkich migdałów sparzyć, oczyścić z łupinek i pokrajać jak najcieniej w paski. Pół kilo poziomek leśnych ugnieść łyżką, posypać dużą szklanką cukru, dać tak postać godzinę. Sześć listków żelatyny rozpuścić w dwóch szklankach wody, wcisnąć w to sok z całej cytryny, lub wysypać łyżeczkę kawianą soli cytrynowej (kwasku). Formę kremową spłókać wodą, wysypać cukrem z migdałami. Stygnącą galaretę zmieszać z poziomkami, wlać do formy i zastudzić. Przed podaniem wyrzucić na talerz, można do tego podać oddzielnie śmietanę bitą, lub sos waniljowy, zaciągany żółtkami.

### TARTELETKI Z TRUSKAWKAMI.

Zrobić kruche ciasto z funta (40 deka) mąki, 20 deka masła, 20 deka cukru, jednego jajka i paru łyżek wody, (aby się ciasto nie kruszyło i dało ładnie wałkować. Rozwałkować cieniuchno i wyłożyć tem ciastem foremki do babek śmietankowych, mocno wciskając we wgłębienia, aby po upieczeniu były ładne. Zrumienić mocno, powyrzucać z foremek, dać zastygnąć. Ładne duże truskawki poobierać z ogonków i ponakładać po dwie, lub trzy w każdą foremkę.



Szklanke soku, wyciśniętego z brzydkich, drobnych truskawek, zagotować ze szklanką cukru, szklanką wody, i kawianą łyżeczką soli cytrynowej (kwasku). Pięć listków żelatyny, wymoczonej w pierw w zimnej wodzie, rozpuścić w tym gorącym syropie. Odstawić od ognia. Stygnącą galaretą zalewać truskawki w formkach z kruchego ciasta i wynieść zaraz do lodowni, lub do zimnej piwnicy. Można podawać tarteletki, jak tylko galareta zupełnie zastygnie. Chcąc je podać bardziej elegancko, ubić szklanke młodej śmietany, zmieszać z kopsiastą łyżką cukru utłuczonego z wanilią i na każdą tarteletkę kłaść łyżeczkę takiego kremu. Z tej proporcji, jeżeli dobrze wałkować ciasto, wychodzi 25 ładnych tarteletek.

#### CIASTKA Z RUMBARBARUM.

Pół kilo oczyszczonych z włókien łodyg rabarbaru pokrajać w drobne płatki, przesywać szklanką cukru i łyżeczką kawianą tłuczonego cynamonu. Z 40 deka mąki, 20 deka masła, lub świeżego szmalcu, 20 deka cukru, jednego jajka i dwóch łyżek wody zagnieść kruche ciasto, rozwałkować jak najcieniej, rozkrajac na połowę, jedną połowę ułożyć na blasze posypanej mąką, otoczyć cieniuchnym wałeczkiem z tegoż ciasta i lekko zrumienić pod

blachą. Gdv ciasto nieco przestygnie, ułożyć na nie rabarbaru i przykryć drugą połową ciasta. Wstawić w średnio gorący piec i piec tak długo, aż rabarbarum zupełnie zmięknie i wierzchnia warstwa ciasta ładnie się zrumieni. Dać dobrze wystygnąć, posypać pudrem cukrowym z wanilią i pokrajać na zgrabne, kwadratowe ciastka.

#### RZODKIEWKA NA JARZYNKĘ.

Na wsi, gdzie nieraz niema zbytu na młodą rzodkiewkę, a jest niebezpieczeństwo, że przerośnie i sparcieje, należy ją używać na garnitur do mięsa, tem cenniejszy, że młodych jarzyn wiosną jest zwykle niewiele. Rzodkiewki spore oczyścić z czerwonej skórki, wrzucić na osolony wrzątek i raz tylko zagotować, poczem wyrzucić na sito i przelać zimną wodą. Rozpuścić w rondlu łyżkę masła, na to włożyć rzodkiewki, (około kilo już oczyszczonych) wymieszać, osolić, wsypać łyżeczkę cukru i dusić na wolnym ogniu, często potrząsając rondelkiem, aby się równo dusiły. Gdy zupełnie zmiękną, podawać na garnitur do kotletów czy pieczeni. Lub też obłożyć grzaneczkami przysmażanemi na maśle, albo fleuronami z francuskiego ciasta i podać jako oddzielną jarzynkę.

*Pani Elżbieta.*

## DRUGI KONKURS „BLUSZCZU“

W dzisiejszym numerze podajemy ostatnie trzy zadania, należące do konkursu. Termin nadsyłania rozwiązań 2 tygodnie. Za rozwiązanie każdego zadania liczyć będziemy uczestniczkom po 5 punktów, za rozwiązanie wszystkich zadań z jednego numeru dodatkowo 10 punktów. Dla uczestniczek konkursu Redakcja przeznaczona 3 nagrody: 1) wyzmaczka najnowszego systemu, 2) serwis do podawania owoców, 3) kwartalna prenumerata „Bluszczu“.

### SZARADY

7.

Gdy PIERWSZEGO - DRUGIEGO zbraknie na blankiecie  
wekslowym i gdy bieda do reszty przygniecie,  
wielu z nas, wziąwszy w kieszeń co zostało grosza,  
da kochanej Warszawie, krótko mówiąc, kosza  
i za sprzedane futra kupiwszy szyf - karty,  
ruszą w świat, w góry, w dżungle, w las i w step otwarty  
aby morze przebywszy, na zgubę gotowi,  
(niejedna grozi DRUGA - TRZECIA okrętowi),  
ujrzeć Afryki brzegi, kędy w dżunglach żyje  
CAŁA... Oto i wszystko, co szarada kryje...

8.

Świetna historii PIERWSZA - DRUGA  
mówi nam czyja to zasługa,  
że handel świat ożywił stary..  
Lecz gdy się z CAŁĄ wziął za bary  
Rzym, wnet runęła CAŁA w gruzy...  
Kędy pałace miały tuzy  
kupiectwa, leży od stuleci  
brzeg afrykański, CZWARTY - TRZECI...

9.

Jeżeli TRZECI - WSPAK wypadnie  
na słońcu piec się Pani,  
to CAŁA przyda jej się snadnie.  
A Pan niech sobie choćby tani  
zakupi PIERWSZY - DRUGI - TRZECI  
jeżeli wie, że z nieba leci  
deszczu, lub gradu zimna struga,  
pomnąc, że grozi CZWARTA - DRUGA  
za nieprzezorność temu, który,  
swej własnej nie szanuje skóry...

## KORRESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

*Hania.*

Kształt nosa jedynie może poprawić odpowiedni masaż. Bardzo dobrze, że się Pani pozbyła kataru, zasadniczej przyczyny zniekształcenia nosa. Wszelkie operacje nosa Pani odradzam, w tym wypadku nie dadzą wyniku dobrego. Co się tyczy wągrów i pryszczu, to odsyłam Panią do mego artykułu w „Bluszczu” pod tytułem „Łojotok”.

*W. C. G. Wołkowce.*

Krem i puder został wysłany odwrotną pocztą. Puder koloru naturalnego jest b. dobry do użycia pod nazw. „Mój puder higieniczny”. Spreparowany jest z tartych roślin i nadaje się do stałego użytku. Chociaż wyrabiany jest również w różnych odcieniach, polecam zawsze kolor naturalny, gdyż jest niewidoczny na twarzy, a nadaje ciepły kolor skórze. Brodawki na twarzy jedynie diathermią leczyć można. Usuwa bardzo ładnie i niedrogo Dr. Buczyński Konstancy, ul. Leszno 29.

*Żanetka i Harcerce.*

Odsyłam do mego artykułu o opalaniu się. Wągrzy na plecach, proszę przeczytać „Łojotok” i odpowiedź. Przy opalaniu się najlepiej działa „Mój krem”, opala jednolicie i szybko.

Co do książki, autorską pracę skończyłam przed paru miesiącami, obecnie wykańcza się techniczna robota i w najbliższych dniach ukaże się w sprzedaży.

*Żanetka i Olunia.*

Przy bardzo silnych wągrach na plecach spróbować lekarstwa, którego receptę załączam Paniom.

Ac. salicyl 1,0  
Sulf. praecip. 4,0  
Spir. saponato kalini 20,0  
Spir. rectific. 20,0  
Glicerini op. 20,0

10 dni pędzlować. Uważać, bardzo silny środek.

W razie zadrażnienia przerwać i stosować „Mój krem” i puder.

*Jesień.*

Przy uderzeniu do głowy w okresie przekwitania bardzo dobrze robią wszelkie preparaty z jajników (ovarogen). Najlepiej jednak zasięgnąć w tej sprawie porady specjalisty, który po zbadaniu zdecyduje i ustanowi sposób leczenia.

*Laura.*

Cera Pani wymaga następującej pielęgnacji: wieczorem należy umyć twarz w gorącej wodzie, mydłem dobrym, a o ile skóra Pani mydła nie znosi, to z dodaniem do wody boraksu toaletowego „Eunice”, wyrobu Karpińskiego. Nos pokryty węgry wytrzeć spirytusem rezorcynowym 2%. Rano wymyć twarz w ciepłej wodzie, natrzeć odrobiną kremu „Mój krem” i lekko zapudrować. Krem wysyła się za zaliczką pocztowa po przysłaniu zapotrzebowania. Naturalnie po przyjeździe do Warszawy niech się Pani pokaże, najlepiej można poradzić, gdy się chorą zbada.

*Iza W.*

Na zaczerwienioną i spuchniętą powiekę po jęczmieniu stosować należy gorące okłady i maść do wcierania, na którą receptę załączam:

Hydr. praecip. flor. 0,1  
Lanolini  
Wazelini ox 2,5

Ds. nacierać powiekę 5 m. codziennie.

*Wenińska.*

Na żółte plamy trzeba zastosować środek złuszczeniowy. Proszę o podanie szczegółów bliższych: czy przechodziła Pani jakie poważne choroby, charakter skóry, czy tłusta, czy sucha, cienka, gruba? O jakiej temperaturze wodę używa Pani do mycia twarzy?  
Dr. J. Świtalska.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr 24

535. Spódnica z materiału w pasy układana w fałdy, bluzka z surowego jedwabiu zapinana na guziczki.

536. Suknia z woalu w kręteczkę i gładkiego.

537. Kostjum sportowy. Spódnica piaskowa, żakiet z brązowego kasha.

538. Suknia z płócienka w krękę przybrana gładkimi plisami.

539. Suknia z georgette'y morelowej, przybrana szarą koronką.

540. Suknia z woalu koloru parme, kołnierzyk biały.

541. Suknia z surowego jedwabiu ozdobiona haftem.

542. Suknia z crêpe de chine'u przybrana wstawką gipsurową.

543. Palto z kasha szarego, układane w kontrafałdy.

544. Kostjum z angielskiego materiału z odciętym karczkiem.

545. Spódnica i palto z kasha brązowego, bluzka z jaśniejszego woalu.

546. Kostjum z granatowego kasha, guziczki rogowe.

547. Suknia z lekkiej wełny koloru rezedowego.

548. Sukienka z deseniowego i gładkiego kretonu dla dziewczynki czteroletniej.

549. Sukienka z woalu ponsowego dla dziewczynki ośmioletniej.

550-551. Fartuszki dla małych dzieci ozdobione haftem.

552. Fartuszek z batystu i koronki dla małej dziewczynki.

553. Sukienka z surowego jedwabiu wyszyta kolorami, dla paniąki czternastoletniej.

554. Sukienka płócienna dla dziewczynki sześciolatniej.

555. Sukienka z crêpe de chine'u przybrana haftem, dół karbowany.

556. Sukienka z woalu z karbowanymi bokami.

557. Sukienka z różowego crêpe de chine'u dla dziewczynki dwunastoletniej.

558. Wzór na makatkę, aplikacja.

559. Wzór na kopertę do serwety, haft kolorowy, wielkość naturalna.

560. Wzór na poduszczyk do szpilek, aplikacja i haft kolorowy. Wielkość naturalna.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dzieciinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielka ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.



MYDŁO W PASCIE NISZCZY ENAMELE



**DENTOLIN**

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW  
BEZ DODATKU MYDŁA

TOWARZYSTWO **Fr. KARDIŃSKI** WARSZAWIE

**Chorzy!** Używajcie tylko pewne **Chorzy!**  
i wypróbowane środki

Tysiące ludzi oświeconie chorych uzdrowiły  
od 1882 roku

**REFORMACKIE**

pigułki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie **REFORMACKIE** pigułki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia **ŻOŁĄDKOWE**, cierpienia **NEREK**, cierpienia **WĄTROBY**, **KAMIEŃ ŻOŁCZOWY**, cierpienia **HEMOROIDALNE**, **REUMATYZM**, **ARTRETYZM**, bóle **GŁOWY**, **WYRENTY** i **LISZAJE**, pobudzają **TRAWIENIE**, **APETYT** i przy skłonnościach do **OBSTRUKCJI** są niezastąpionym, środkiem **PRZECZYSZCZAJĄCYM**.

Skład: 1 do 2 pigulek na noc. ———— Cena pud. zł. 1.35  
Wyrobu apteki **KARCAEWSKI - TUSZYŃSKI** Warszawa, Trębacka 4.  
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem

## PANIE I PANÓW

PRZYJMujemy NA ZBIOROWE LEKCJE  
WYROBU DYWANÓW SMYRNEŃSKICH

Gotowe wyroby kupujemy i sprzedaż ich ułatwiamy.  
Każda z Pań wykonywać może roboty w domu. Przyjmujemy dywany do strzyżenia i kunsztownego cerowania, oraz zamówienia na stylowe dywany nowe.

Towarzystwo WYROBU Dywanów Smyrneńskich w Polsce

**„K. LITWINOWICZ I S-KA“**

Biuro Zarządu: Warszawa, Marszałkowska 94, m. 8.

PERFUMY  
WODY KOŁONISKIE  
MYDŁA

**KALIA  
JSTE**

**PRZODUJĄ w POLSCE**  
J. & S. Stempniewicz  
WARSZAWA POZNAŃ RADOM

175

Wydany przez nas bardzo starannie,

## ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU“ (ze względu na ilustrowane polecenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „ZBIORU“ wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU“  
Warszawa, Krak. Przedm. 99.  
Konto P. K. O. 3700.

Udelikatniają i konserwują  
skórę

# MYDŁA

Z SILNEMI KWIATOWEMI ZAPACHAMI  
PRZETŁUSZCZONE I HIGIENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki  
**M. MALINOWSKIEGO**  
Warszawa, Nowy Świat 31.

177

## BEZPŁATNA

Wysyłka prób (na prowincję)  
ostatnich nowości  
LETNICH

**BRACIA JABŁKOWSCY**

WARSZAWA, BRACKA 25.

## NAJA TRIPUDIANS

(ZMIJA EGIPSKA)

ANNIE VIVANTI

JEST TO:

„Mocno napisana i konsekwentnie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.”

Z. Rabska (Kurier Warszawski)

Cena zł. 5

Z przesyłką poleconą 3 50.

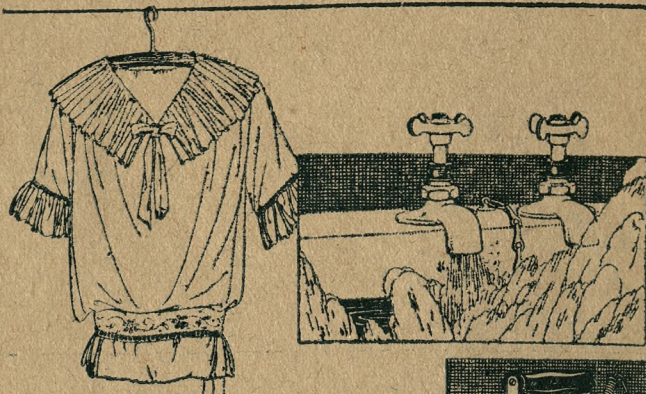
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDM. (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TEL. 239-40.  
KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”  
z przesyłką pocztową wynosi:

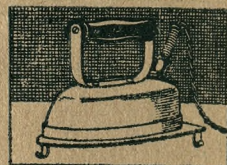
Rocznie—57 zł. 60 gr.,      kwartalnie 14 zł. 40 gr.  
Miesięcznie—4.80 gr.      Zagranicą — 8 zł.  
Zmiana adresu 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica  $\frac{1}{2}$  — 450 zł.,  $\frac{1}{2}$  str. — 260 zł.,  
 $\frac{1}{4}$  str. — 150 zł.,  $\frac{1}{8}$  str. — 80 zł.,  $\frac{1}{16}$  str. — 45 zł.,  
 $\frac{1}{32}$  str. — 30 zł.      [Za tekstem o 50% drożej.  
Wkładki reklamowe i reklamy opisowe—według umowy.



*Jedwabne  
tkaniny nie  
znoszą gorąca,  
należy zatem  
unikać gorącej wody,  
gorących żelazek i słońca*



Lux umożliwia częste noszenie jedwabi, gdyż pranie nie niszczy ich. Lux jest specjalnie preparowany do prania jedwabi i wszelkich delikatnych tkanin. Cienkie, przejrzyste płatki Lux'u dają się ubić na gęste mydliny, które łagodnie rozpuszczają brud.

### Jak należy prać jedwabie.

**Pranie:** Ubić Lux na pianę w gorącej wodzie i dodać zimnej tak, aby otrzymać letnią pianę. Zanurzyć przedmiot przeznaczony do prania i starannie wygnatać w gęstych mydlinach. Nie trzeć! Wypłókać starannie w letniej wodzie. Nie wyciskać ani wykręcać!

**Suszenie:** Nigdy nie należy suszyć jedwabi blisko ognia lub na słońcu. Zawinąć je w czysty ręcznik i pozostawić, aż prawie wyschną.

**Prasowanie:** Prasować ciepłym — nie gorącym! — żelazkiem. Gorące żelazko zatłoczy jedwab i czyni go sztywnym, przyczem rozszpecza delikatne włókienka. Między jedwab a żelazko należy położyć kawałek białego płótna.

Uprasza się o nadesłanie poniższego kuponu, poczem nadesłaną bezpłatną próbkę oraz ilustrowaną broszurkę o sposobie prania.



**KUPONI!** Do p. REIDA, Szaryta pocztowa 678, Poczta Główna, Warszawa. Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres .....

Mydlarnia w której swymie czynię zakupy .....

Kupon ważny aż do odwołania.  
„Bluszcz” Każde osoba może otrzymać jedną próbkę.

Przedstawiciel na Polskę firmy Lever Brothers Limited (Anglja) L. Reid, Warszawa, Moniuszki 11. Tel. 204-87, 186-00.

Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i mydlarniach.